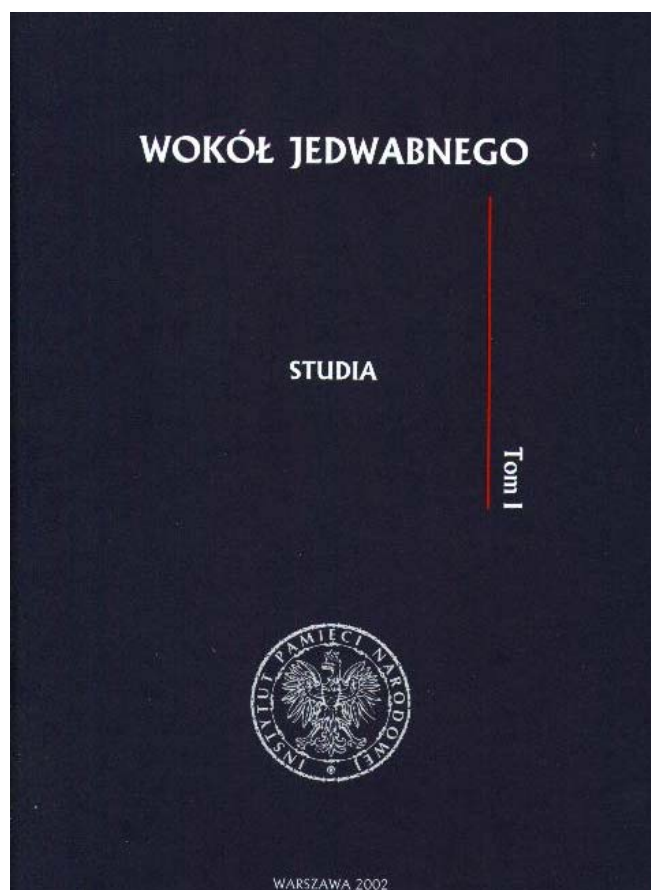


ZAGŁADA
PAMIĘĆ
EDUKACJA

BIULETYN NAUCZYCIELI

„NIEPAMIĘĆ ZBIOROWA”
SPORY I POLEMIKI



Nr
1/2004

DRODZY NAUCZYCIELE

Podczas wielu naszych spotkań rozmawialiśmy o potrzebie informowania się co i jak robimy. Wielu z nas, podejmując trud nauczania o Zagładzie, skarży się na brak informacji i pracę w osamotnieniu.

Wielu z nas chciałoby wiedzieć co i jak robią inni, chciałoby dzielić się swoim doświadczeniem z innymi. Sądzymy, że powinno istnieć w Polsce forum, na którym polscy nauczyciele mogliby dyskutować o nauczaniu o Zagładzie, wymieniać się swoimi doświadczeniami.

„Zagłada Pamięć Edukacja. Biuletyn Nauczycieli” chce spełnić taką rolę. Będziemy na naszych łamach zamieszczać artykuły prezentujące wyniki najnowszych badań historycznych, dyskusje i polemiki na kontrowersyjne tematy.

Chcemy też zamieszczać refleksje nauczycieli na temat ich doświadczeń w nauczaniu o Zagładzie. Publikować ciekawe i inspirujące teksty metodyczne, a przede wszystkim różnorodne źródła historyczne, które można wykorzystać w czasie lekcji z uczniami.

Sądzymy, że „Biuletyn” spotka się z życzliwym przyjęciem.

W pierwszym numerze zamieszczaamy dyskusję jaka wywiązała się po opublikowaniu na łamach „Tygodnika Powszechnego” artykułu Jana Tomasz Grassa pt: „Niepamięć zbiorowa”. Teksty zamieszczone w „Biuletynie” pochodzą ze strony internetowej „Tygodnika Powszechnego” i są ogólnie dostępne.

Zapraszamy do współpracy przy redagowaniu kolejnych numerów „Biuletynu”.

Redakcja

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

SPIS TREŚCI

Jan Tomasz Gross	-	<i>Niepamięć zbiorowa</i>	s. 4
Paweł Machcewicz, Rafał Wnuk	-	<i>Historyk ahistoryczny</i>	s. 11
Jerzy Jedlicki	-	<i>Wiedza jako źródło cierpień</i>	s. 17
Hanna Świda-Ziemba	-	<i>Z wileńskiej perspektywy</i>	s. 23
Władysław Bartoszewski	-	<i>O problemach niepamięci refleksja osobista</i>	s. 28
Jan Woleński	-	<i>Wiedza jako pożytek zbiorowy</i>	s. 35
Marcin Kula	-	<i>Amnezja – choroba tylko częściowo zawniona</i>	s. 39
Dawid Warszawski	-	<i>Wojny pamięci</i>	s. 44
Wojciech Lizak	-	<i>Z perspektywy ludu</i>	s. 50

JAN TOMASZ GROSS

TP, nr 32, 2004. 08. 08

NIEPAMIĘĆ ZBIOROWA

Przywódcy Państwa Podziemnego wiedzieli o zbrodniach dokonywanych przez Polaków na Żydach latem 1941 r. Dlaczego nie bili na alarm? Czy dlatego, że losy "Chamów" i "Żydów" były ówczesnej elicie obojętne?

Od kiedy zasiadłem do pisania "Sąsiadów", zadawałem sobie pytanie, jak to się stało, że zbrodnia w Jedwabnem nie została zarejestrowana w historiografii okresu okupacji. Mnie samemu zajęło parę lat, aby przyjąć do wiadomości relację Szmula Wasersztejna. Czym wytłumaczyć podobną niewiedzę wielu pokoleń historyków, którzy przecież intensywnie zajmowali się wojenną tematyką? Nie w tym rzecz, że ktoś nie umiał od razu odczytać dokumentu, który wpadł mu w ręce, albo że posiadaną wiedzę o jakimś zdarzeniu próbował zataić przed szerszą publicznością. Pomyłki i oszustwa to rzeczy godne pożałowania, ale z punktu widzenia poznania historycznego nie ma w nich żadnej zagadki.

Wiemy, nie powiemy

W przypadku mordu na jedwabieńskich Żydach stajemy wszelako przed arcy-ciekawą zagadką. Czyż nie jest zdumiewające, że wiedza o tamtej zbrodni była powszechna (ludzie w miasteczku i okolicy o wszystkim wiedzieli), upubliczniona (odbył się proces w Łomży, w którym wyłożono kawę na ławę), zarejestrowana drukiem (w księdze pamiątkowej jedwabieńskich Żydów wydanej w 1980 r. zdarzenie zostało opisane, a i w artykule opublikowanym w 1969 r. Szymon Datner robił do niej przejrzyste aluzje) i równocześnie nieobecna w historiografii epoki? A przecież nie było to zdarzenie drobne, marginesowe, niewiele znaczące - dyskusja, która się wokół tej sprawy wywiązała w Polsce, jest najlepszym tego dowodem.

Jak możemy na coś patrzeć i tego nie widzieć? Jak można coś wiedzieć i równocześnie z tej wiedzy nie zdawać sobie sprawy? Oto pytania, które domagają się odpowiedzi - i to nie zredukowanej do uwag o psychologii percepcji indywidualnej. Po ukazaniu się dwóch tomów "Wokół Jedwabnego" (Warszawa 2002) - rezultatu prawie dwuletnich badań historyków i prawników związanych z Instytutem Pamięci Narodowej - pytania te uderzają w nas ze zwielokrotnioną siłą.

Okazało się bowiem, że w lecie 1941 r. mieszkańcy co najmniej dwóch tuzinów miejscowości w Białostockiem mordowali żydowskich współobywateli (Paweł Machcewicz, "Wokół Jedwabnego", str. 22). Zbrodnie te - a mowa o masowych zabójstwach - miały miejsce na obszarze kilku powiatów i trwały przez wiele tygodni. A więc nie jedno, dwa czy trzy miasteczka położone tuż obok siebie w jednodniowych parkosyzmach gwałtu (od początku było wiadomo, że

w Wąsoszy, Radziłowie i Jedwabnem miejscowa ludność wymordowała żydowskich sąsiadów) - ale fala zbrodniczych zachowań, które ani w podręcznikowej, ani w specjalistycznej historii Polski nie zostawiły właściwie śladu. Jak coś takiego było możliwe? Czyżby te zbrodnie nie były nigdzie odnotowane - oprócz, bagatela, pamięci zbiorowej paruset (?) tysięcy mieszkańców okolic Podlasia i Białostoczczyzny? Ale w takim razie cóżby to miało znaczyć, że zdarzenia bądź co bądź niebanalne, których świadkami są dziesiątki tysięcy ludzi, nie przenikają do kanonów wiedzy o epoce?

Drugi tom "Wokół Jedwabnego", zestaw dokumentów na tematy nas interesujące, pozwala zorientować się, co (a także - komu i kiedy) było wiadomo o zachowaniu polskiego społeczeństwa latem 1941 r. w Białostockiem. W części III, na niespełna 30 stronach, zebrane są "Dokumenty Polskiego Państwa Podziemnego o sytuacji na Białostoczczyźnie po 22 czerwca 1941 r." (str. 123-154). Autorami większości tekstów są pracownicy Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ (później AK) - a więc z racji przynależności organizacyjnej i pełnionej funkcji ludzie godni zaufania. Kilku z nich przeżyło okupację. Nie są to postacie anonimowe. Aleksander Gieysztor, jeden ze współredaktorów "Informacji Bieżących", był światowej sławy mediewistą i przez pewien czas prezesem Polskiej Akademii Nauk. Inny z redaktorów, Antoni Szymanowski, z godnością zasłużył się po wojnie polskiej dyplomacji. Profesor Stanisław Płoski, szef Wojskowego Biura Historycznego AK, był wybitnym znawcą historii współczesnej.

Tak więc dokumenty zebrane w tomie IPN-u nie tylko są firmowane przez najpoważniejsze podziemne instytucje, ale powstały w środowisku nietkniętym antysemityzmem (Jan Rzepecki i jego współpracownicy z BiP-u mieli w podziemiu opinie lewicujących demokratów) i wyszły spod pióra ludzi wybitnych. Niektóre z cytowanych dokumentów sygnowane są przez dowódcę Armii Krajowej Stefana Grota-Roweckiego albo przez oficerów inspekcyjnych AK.

Depesza Roweckiego z początku lipca 1941: "Pierwsze wiadomości z terenów zdobytych wskazują na odruchowe sympatie do wybawców spod ucisku bolszewickiego, w którym duży udział brali Żydzi. W Brześciu pogrom Żydów przez wypuszczonych z więzień Polaków" (str. 130). Lipiec 1941, Wojskowe Biuro Historyczne, "Aneks o terrorze": "W szeregu miast (Brześć n. Bugiem, Łomża, Białystok, Grodno) dokonała pogromów czy nawet rzezi Żydów ludność miejscowa polska, niestety, wspólnie z żołnierzami niemieckimi" (str. 132). Wrzesień 1941, meldunek oficera ZWZ: "Polacy na terenie widzą w Niemczech swoich zbawców, wszędzie przyjęli wojska niemieckie prawie entuzjastycznie, z kwiatami, niekiedy bramami triumfalnymi, i zaofiarowali im swoją współpracę. Dotyczy to wszystkich, bez względu na stopień socjalny. Niemcy chętnie z tych usług korzystają... Wrogość Polaków w stosunku do Żydów jest tak wielka, że tamtejsza ludność nie wyobraża sobie, aby w przyszłości mógł nastąpić normalny stosunek do Żydów" (str. 138). Wrzesień 1941, meldunek sieci wywiadowczej ZWZ: "...w mniejszych miasteczkach jest tylko Hilfspolizei złożona z dawnych polskich policjantów oraz miejscowych Polaków i Białorusinów... W magistratach urzędują przeważnie Polacy" (str. 139). Październik 1941, "Aneks

o terrorze”: “Wkroczenie wojsk niemieckich rozpełtało w stosunku do Żydów potwornych wręcz rozmiarów terror, uprawiany przez wojsko ze znacznym udziałem ludności miejscowej” (str. 143). Raport sytuacyjny Delegatury Rządu RP na Kraj za okres od 15 sierpnia do 15 listopada 1941: “W początkach okupacji umiejętna propaganda niemiecka wywołała przyjazne dla siebie nastroje. Twierdzono stale, że Niemcy przyszli, by uwolnić kraj od bolszewików i Żydów, co łatwe było do uwierzenia, gdy podszepto myśl urzędzenia pogromów żydowskich, które też miały miejsce na większą skalę w powiatach szczu- czyńskim, łomżyńskim, augustowskim i białostockim... W chwili obecnej prawie wszystkie posterunki administracyjne z wyjątkiem kierowniczych, obsadzonych przez Niemców, znalazły się w ręku Polaków... część młodzieży o przekonaniach faszystowskich, a nawet szereg dawnych członków organizacji niepodległościowych, poszło na służbę niemiecką tworząc oddziały milicji” (str. 147). “Aneks o terrorze”, listopad 1941: “Prowokowane są pogromy z udziałem ludności miejscowej” (str. 148).

Co każe przyzwoitość?

Tak więc nie tylko miejscowa ludność wiedziała o pogromach Żydów dokonywanych przez współmieszkańców. Jak widać z cytowanych dokumentów, również centralne władze Państwa Podziemnego informowane były o wydarzeniach na bieżąco. Z przytoczonych zapisów - a jest to zapewne w miarę kompletny zestaw podziemnych dokumentów na ten temat (“Aneks o terrorze” z lipca 1941 zapowiada, że ściślejsze wiadomości zostaną podane “następnym razem”, ale, jak redaktorzy tomu informują w przypisie, żadnych innych raportów ZWZ na temat udziału ludności polskiej w wystąpieniach antyżydowskich nie znaleziono) - wynika, że zjawisko nie wywołało specjalnego zainteresowania. Nic nie wskazuje na to, aby skądkolwiek domagano się dodatkowej dokumentacji, bardziej szczegółowych sprawozdań i pogłębionych studiów.

Dlaczego? Ostatecznie jednym z głównych zadań, które sobie stawiało Państwo Podziemne (niezależnie od ideologicznego zróżnicowania organizacji, które wchodziły w jego skład) była troska o imponderabilia, ochrona substancji narodowej przed dezintegracją, przeciwdziałanie zbiorowej demoralizacji grożącej na skutek podporządkowania się zarządzeniom władz okupacyjnych, kultywowanie honoru, godności ludzkiej, zwykłej przyzwoitości, cnót obywatelskich i patriotyzmu - które to właściwości, wszystkie razem i każdą z osobna, okupant pragnął wytępić. Jak można więc było nie zwrócić uwagi na sytuację, w której jedna grupa obywateli bierze udział w wymordowaniu innej grupy obywateli z poduszczenia najeźdźcy? - bo zbrodnie na Żydach popełniono przecież w kolaboracji z hitlerowcami (który to temat również do tej pory nie znalazł się w polu zainteresowania historyków).

Czy można sobie w ogóle wyobrazić równie szkodliwe działania zbiorowe z punktu widzenia celów Podziemia? Czy kiedykolwiek jeszcze w czasie okupacji ujawniły się z równą siłą demoralizacja, zatracenie cnót obywatelskich, wręcz dehumanizacja całych grup polskiej ludności? Dlaczego to pogwałcenie impe-

ratywu, aby nie dać się wykorzystać okupantowi przeciw współobywatelom (zrealizowane tu w najgorszym z możliwych wariantów, gdy ludzie dali się popchnąć do współudziału w morderstwie), nie wywołało paniki, przerażenia i potrzeby przeciwdziałania? Dlaczego nawet ci mili, mądrzy i przyzwoici ludzie - mówię o wymienionych wcześniej pracownikach BiP-u, których znałem, bo bywali gośćmi w mieszkaniu moich rodziców po wojnie, jako że Matka była łączniczką BiP-u, gdzie jej pierwszy mąż, rozstrzelany w czasie okupacji Stanisław Wertheim, wraz z Gieysztozem i Szymanowskim współredagował "Informacje Bieżące" - na wieść o tych potwornych zbrodniach nie podnieśli larum pod niebiosa, nie rwali sobie włosów z głowy, choć to przecież była katastrofa, na którą prasa podziemna i władze powinny natychmiast zareagować?

Wychodzi na to, że tylko Jan Karski rozumiał od pierwszej chwili niebezpieczeństwo, jakie niósł ze sobą antysemityzm "szerszych mas społeczeństwa polskiego". "Stosunek ich do Żydów - pisał w raporcie doręczonym premierowi Sikorskiemu w Angers zimą 1940 r. - jest przeważnie bezwzględny, często bezlitosny. Korzystają w dużej części z uprawnień, jakie nowa władza im daje. Wykorzystują wielokrotnie te uprawnienia, często nadużywają ich nawet. Zbliża ich to w pewnym stopniu do Niemców... »Rozwiązywanie kwestii żydowskiej« przez Niemców - muszę to stwierdzić z całym poczuciem odpowiedzialności za to, co mówię - jest poważnym i dosyć niebezpiecznym narzędziem w rękach Niemców do »moralnego pacyfikowania« szerokich warstw społeczeństwa polskiego... ta kwestia stwarza jednak coś w rodzaju wąskiej kładki, na której przecież spotykają się zgodnie [podkr. autora] Niemcy i duża część polskiego społeczeństwa... ten stan grozi demoralizacją szerokich warstw społeczeństwa, demoralizacją, która może spowodować wiele kłopotów przyszłym władzom z trudem odbudowującego się Państwa Polskiego".

Karski kończył tę część raportu następującą konkluzją: "Zajęcie biernej postawy wobec obecnego stanu rzeczy grozi i demoralizacją społeczeństwa polskiego (przeważnie niższych jego warstw), i wszystkimi niebezpieczeństwami wynikającymi z tej - choćby częściowej, ale w wielu wypadkach szczerzej »zgodności« [podkr. autora] - znacznej części Polaków z zaborcą" ("Mówią Wieki", listopad 1992, str. 3-8). Niestety - jak to już dziś wiemy - choć miał rację, mówił na wiatr. Kazano mu zresztą już wówczas ten i parę innych fragmentów raportu usunąć, aby alianci przypadkiem nie dowiedzieli się o antysemickich nastrojach panujących w okupowanej Polsce.

Kuchenne schody

Skoro więc przejścia do porządku nad masowymi mordami Żydów przez ich polskich sąsiadów nie da się wytłumaczyć ani ignorancją, ani złą wolą podziemnych władz, jak to "przeoczenie" powinniśmy rozumieć? Czemu należy przypisać nieprzyjęcie do wiadomości zjawisk, co tu dużo mówić, monstrualnych?

Po wyeliminowaniu hipotez alternatywnych (że nic o tych zbrodniach nie było wiadomo i że ludzie ze złej woli wiedzę na ich temat ukrywali) dochodzimy do

punktu, w którym trzeba wykonać krok w nieznaną. Wedle mojej intuicji przyczyną tej wybiórczej ślepoty należy upatrywać w zhierarchizowaną, postfeudalną strukturę polskiego społeczeństwa.

Stanisław Mikołajczyk powiedział kiedyś, że jego koledzy z rządu na emigracji nigdy mu nie darowali tego, że był chłopem. Dystans klasowy, pogarda dla tego, kto stał niżej w hierarchii społecznej, to w przedwojennej Polsce był nie tylko "Gombrowicz", ale samo życie. Idąc tym tropem możemy sobie wyobrazić, że wymordowanie Żydów przez ludność chłopską i mieszkańców małych miasteczek - zdarzenie rozgrywające się pośród tzw. dolów społecznych - umknęło z pola widzenia wyższych warstw ziemiańsko-urzędniczych i inteligencji, które najprzód robiły podziemie, a potem pisały historię. To były przecież "kuchenne schody", podczas gdy wojna w nurcie mitotwórczo-patriotycznym rozgrywała się na głównej scenie narodowego dramatu.

Kraj pozbawiony niepodległości przez państwa ościennie, działania okupantów zmierzające do wyniszczenia elit, heroiczny opór zakończony powstaniem skazanym z góry na przegraną, gest złożenia w nierównej walce ofiary z najlepszych, obrona imponderabiliów wbrew pragmatyce sugerującej kompromis - oto rzeczywista materia wojennego doświadczenia, ostatniej odsłony romantycznego misterium. Łatwo było głównym bohaterom dramatu ulec złudzeniu, że doly społeczne nie miały w tej sprawie żadnej roli do odegrania. Ktoś od czasu do czasu ich losy odnotował, choć nie posiadały większego znaczenia. Tam, gdzie szło o honor, imponderabilia, rację stanu, Ojczyznę wreszcie, "Chamy i Żydy" nie miały nic do dodania.

Snującemu te rozważania nieoczekiwanie przysłała w sukurs książka znakomitej autorki, prof. Hanny Świdy-Ziemby. Wydawnictwo Literackie opublikowało w 2003 r. jej "Urwany lot" - studium o pokoleniu "inteligentkiej młodzieży powojennej w świetle listów i pamiętników z lat 1945-1948". Autorka zdała maturę w Łodzi w 1948 r. i ofiarowała nam teraz (auto)biografię zbiorową swojego pokolenia. Książka roi się od cytatów z 91. zebranych przez nią "pełnych dokumentów osobistych", wśród których są pamiętniki, kolekcje listów czy wreszcie wyjątkowe, jak sądzę, źródła w historii pamiętnikarstwa, a mianowicie korespondencje w czasie lekcji między uczniami - "dysponuję siedmioma takimi »zeszytami korespondencji« z różnych miast", pisze Świda-Ziemba (str. 17). W "Urwanym locie" słowami bohaterów książki przedstawiony jest stan świadomości młodzieży inteligentkiej tuż po wojnie. Mieli z grubsza biorąc dziesięć lat jak wybuchła, chodzili na tajne komplety w czasie okupacji, pochodzili z rodzin inteligentkich - młodsi bracia i siostry opisanego w "Kamieniach na szaniec" pokolenia Szarych Szeregów.

"Wojna nie przeszkadza temu, że świat znaczeń przedwojennego światopoglądu przekazywany jest nadal dzieciom (a potem młodzieży) w domu rodzinnym, w gronie przyjaciół, w kościołach, na kompletach, w partyzantce, w podziemnych gazetkach, w codziennych kontaktach między ludźmi - tłumaczy mechanizm socjalizacji pokolenia swoich rówieśników Hanna Świda-Ziemba. - Co więcej, ów światopogląd jest przekazywany i utwierdzany w szczególnie silnej atmosferze emocjonalnej... Wszystko, co przed wojną dla dzieci i młodzieży

istniało jako idea, obraz literacki lub przyszłościowa droga »dorosłego życia«, nabiera teraz realistycznego - pełnego grozy - wyrazu. Groza ta jest przy tym włączona w siatkę romantyzmu... Tak więc nastolatki tego pokolenia są zarówno »świadomościowo«, jak i czynnie zanurzone w mistykę »polskiej ofiary« zmierzającej do zwycięstwa...” (str. 58). Autorka wyjaśnia, że jej pokolenie jako “ostatnie w szeregu” zachowało ciągłość tradycyjnych wzorów. “Gdy byłam młoda - pisze - odnosiłam wrażenie, że w odbiorze świata jestem bardziej podobna do moich rodziców niż do moich uczniów i młodszej o blisko 9 lat siostry” (str. 7).

Szukałem w książce Świdy-Ziemby informacji, jak “ostatnie w szeregu” pokolenie polskiej inteligencji zarejestrowało katastrofę polskiego żydostwa i znalazłem krótki akapit mówiący o tym, że młodzi wynieśli z wojny swoiste zobojętnienie “na najbardziej choćby traumatyczne doświadczenia »innych« spoza własnej wspólnoty” i że “brak było też poważniejszych refleksji na temat Holokaustu” w materiałach, które autorka przestudiowała (str. 56-57). Autorka pisze, że Holokaust “nie stał się przedmiotem refleksji... problem żydowski ujmowano tak, jakby świat cofnął się do czasów przedwojennych, a Holokaust nigdy nie miał miejsca... Antysemici operowali przedwojennymi zarzutami... sam Holokaust natomiast, jako wstrząs, jako istotny argument, nie był w tych dyskusjach obecny... dlaczego świadomość i doświadczenie Holokaustu nie zablokowały u młodzieży możliwości ujawnienia się postaw antysemickich, a przez polemistów antysemitów nie jest to przywoływane jako argument?... Mogę to odnotować jako zdumiewający dziś fakt, którego do końca nie rozumiem, ale który miał naprawdę miejsce” (str. 92-94).

Oczywiście, o Holokaucie po wojnie mało kto w Europie rozmawiał, a Żydzi byli “spoza własnej wspólnoty”. Również i dlatego, że “młodzież inteligencka szybko dowiadywała się, że żyje w społeczeństwie hierarchicznym... Na szczycie tej hierarchii mieli być usytuowani »ludzie dobrze wychowani«, czyli inaczej - inteligencja” (str. 42).

Jak wyglądał wpajany młodzieży ideał polskiego inteligenta? Otóż “człowiek »dobrze wychowany« - pisze Świdła-Ziemba - to przede wszystkim osoba o określonych manierach..., a także człowiek wykształcony..., wreszcie ktoś o określonych walorach charakteru, świadczących o tym, iż nie jest »chamem«... Przekazywano nam również i to, że w społeczeństwie do misji inteligencji należy przechowywanie najwyższych wartości... Jeśli obraz Polski, Boga, Chrystusa zawarty był głównie w szerszych przekazach..., to wzór człowieka dobrze wychowanego wpajano dzieciom na co dzień w formie różnych, na ogół lakonicznych uwag. Oto ich przykłady: »nie zachowuj się jak cham«, »to nie jest towarzystwo dla ciebie«, »pamiętaj, że jesteś dzieckiem z dobrego domu«. Świat »pozainteligencki« ujmowany był za pomocą innej kategorii pojęciowej. Taką kategorią był »lud«. Pojęcie »ludu« obejmowało wszystkich, którzy nie zaliczali się do ludzi »dobrze wychowanych«. Lud to byli: chłopci biedni, bogaci, bezrolni; robotnicy wykwalifikowani, niewykwalifikowani, analfabeci, lumpenproletariat; ale także niewykształceni (czy nie znający inteligenckich manier i wartości) rzemieślnicy i kupcy. Innymi słowy, w przekazywanym światopoglądzie świat

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

społeczny w Polsce dzielił się na inteligencję i lud... Lud był »ciemny«, nie-uświadomiony (także w sensie przynależności narodowej). Lud należało więc po swojemu szanować, ale jednocześnie jego istnienie stanowiło dla inteligencji wyzwanie. Należało w miarę możliwości nieść ludowi pomoc, lecz nade wszystko »krzewić« wiedzę. Lud był jak niezaorany grunt, który trzeba uprawiać. Przynależność do warstwy inteligencji - warstwy wyższej, znacznie mądrzejszej, dobrze wychowanej - zobowiązywała. Tym obowiązkiem była dobroczynność, ale przede wszystkim »wychowanie ludu«, jego uświadomienie - higieniczne, oświatowe, patriotyczne» (43-45).

Należy się domyślać, że w ocenie ludzi dobrze wychowanych Żydzi pod względem higienicznym, oświatowym i patriotycznym pozostawiali równie wiele do życzenia, co sam lud. O zbrodni popełnionej na Żydach przez "lud" nie wiedzieliśmy najprawdopodobniej dlatego, że rozróby wśród "chamstwa" nie są dla ludzi z "lepszego towarzystwa" nazbyt interesujące. Nikt na ten temat nie kłamał ani niczego specjalnie nie ukrywał, bo nie było po co. Miejmy nadzieję, że to nastawienie uległo zmianie i dzisiejsze społeczeństwo domagać się będzie od historyków spojrzenia na własną przeszłość przez pryzmat etosu rewindykującego wiedzę, która zakłada, że wszyscy ludzie są równi.

Tekst przygotowany do publikacji w książce "Świat niepożegnany. Żydzi na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w XVI-XX wieku" (praca zbiorowa pod redakcją Krzysztofa Jasiewicza, która ukaże się nakładem Oficyny Wydawniczej RYTM i Instytutu Studiów Politycznych PAN).

PAWEŁ MACHCEWICZ

RAFAŁ WNUK

TP, nr 33, 2004. 08. 15

HISTORYK AHISTORYCZNY

Konkluzja tekstu Jana Tomasz Grossa ("TP" nr 32/04) jest szokująca: "O zbrodni popełnionej na Żydach przez »lud« nie wiedzieliśmy najprawdopodobniej dlatego, że rozróby wśród »chamstwa« nie są dla ludzi z lepszego towarzystwa ażbyt interesujące". Stosując takie uproszczenia można udowodnić, że o zbrodniach na Wołyniu nie pisano do początku lat 90., bo ukraińskie "Chamy" wymordowały tam polskich "Chamów", a milczenie na temat walk na Nowogródczyźnie wyjaśnić tym, że ruskie i białoruskie "Chamy" rżnęły "Chamów" polskich.

Autor "Sąsiadów" zarzuca kilku czołowym postaciom ze środowiska Biura Informacji i Propagandy KG ZWZ-AK obojętność wobec mordów dokonanych przez Polaków na Żydach w lipcu i sierpniu 1941 r. na terenie Białostoczczyzny. Jest to zarazem oskarżenie instytucji Polskiego Państwa Podziemnego o przemilczanie arcyważnego aspektu stosunków pomiędzy polskimi obywatelami różnych narodowości. Jeśli dobrze rozumiemy, Gross uważa, że Jan Rzepecki, Aleksander Gieysztor, Antoni Szymanowski, Stanisław Płoski i Jerzy Makowiecki zamiast alarmować zwierzchników i podziemną prasę, domagać się podjęcia jakichś bliżej niesprecyzowanych kroków ("nie podnieśli larum pod niebiosa, nie rwali sobie włosów z głowy") dla wyjaśnienia tych bulwersujących, ale ogólnikowych, zagadkowych wręcz doniesień, ograniczali się do sporządzania rzetelnych, obiektywnych meldunków informacyjnych na użytek KG ZWZ.

Informacja, nie propaganda

Gross zapomina, że raport ma z definicji charakter informacyjny, nie publicystyczny czy propagandowy, nie może sugerować podjęcia jakichkolwiek działań czy wyciągania określonych wniosków. Autor "Niepamięci zbiorowej" nie bierze też pod uwagę, iż pracownicy BiP przez cały okres wojny dostarczyli wiele materiałów na temat stosunków narodowościowych na terenach, które znalazły się w 1939 r. pod okupacją sowiecką. W ich raportach wielokrotnie odnotowywano gwałtowny wzrost antysemityzmu wśród poszczególnych grup narodowościowych II RP, zwłaszcza Polaków i Ukraińców. Ta gwałtowna radykalizacja postaw miała być - zdaniem autorów meldunków - skutkiem poparcia Sowietów przez znaczną część ludności żydowskiej, która znalazła się pod okupacją wschodniego sąsiada. Zjawisko to odnotowują nie tylko dokumenty ZWZ, ale też podziemna prasa różnych nurtów. Nie ma sensu w tym miejscu rozpocząć dyskusji, w jakim stopniu oceny te były krzywdzącymi uogólnieniami opartymi na zachowaniach tylko części Żydów, a w jakim odzwierciedlały stan

faktyczny. Ważne, że taki sposób myślenia był charakterystyczny dla większej części Podziemia, o czym należy pamiętać, gdy czytamy meldunki z 1941 r. Ich autorzy wyraźnie łączyli informacje o pogromach ze stosunkiem polskiej ludności do Żydów, ukształtowanym podczas prawie dwóch lat sowieckiej okupacji.

W 1941 r. BiP informowało o przypadkach mordów na Żydach dokonywanych przez obywateli polskich (Ukraińców i Polaków) i o masowych mordach popełnionych przez Niemców i Litwinów. Potem - także o niemieckiej polityce wobec Żydów, a następnie o tragedii Holokaustu. Także dzięki wysiłkom BiP możliwe było przekazywanie tych informacji rządowi RP w Londynie, a przez ten ostatni - aliantom i światowej opinii publicznej.

Pracownicy kierowanej przez Rzepeckiego komórki nie stosowali autocenzury. Informacjom mówiącym o haniebnym zachowaniu się jakiejś grupy ludzi z reguły towarzyszyła jednoznacznie negatywna ocena moralna. Warto dodać, że wywodzący się z tego środowiska Antoni Szymanowski w grudniu 1942 opublikował książkę "Likwidacja getta warszawskiego" - wybitny, poruszający tekst o niezaprzeczalnych walorach edukacyjnych. Podstawowym celem tej pracy było uświadomienie opinii społecznej rozmiaru rozgrywającej się tragedii Żydów i poruszenie sumień.

Nieporozumieniem jest też budowanie przeciwstawienia: "rozumiejący niebezpieczeństwo, jakie niósł ze sobą antysemityzm" Jan Karski, a z drugiej strony nieświadomi zagrożeń inni członkowie podziemnych elit. Karski nigdy nie żył pod sowiecką okupacją, wiedzę swą czerpał od ludzi i z materiałów, do których dostęp uzyskał ze względu na powierzoną mu kurierską misję. Przekazywał informacje i opinie KG ZWZ, a nie swoje prywatne poglądy.

Czas bez państwa

Kluczowe pytanie brzmi: jaki był latem 1941 r. stan wiedzy kręgów dowódczych ZWZ o sytuacji na obszarach dwa miesiące wcześniej okupowanych przez Sowieców? Odpowiedź jest prosta - minimalny. Wbrew założeniu poczynionemu przez Jana Tomasza Grossa, w połowie 1941 r. Polskie Państwo Podziemne na tamtych terenach praktycznie nie istniało. Obszar Lwowski ZWZ (a właściwie to, co z niego zostało) był kontrolowany przez NKWD, Obszar Białostocki został sparaliżowany wiosną 1941 r. przez kolejne fale aresztowań. W rezultacie w drugiej połowie 1941 r. kresową konspirację trzeba było odbudowywać niemal od zera. Robiły to specjalne "ekipy" wysłane tam przez KG ZWZ. Tworzone przez nie siatki zaczęły funkcjonować dopiero w 1942 r. Wtedy też poprawiła się jakość informacji napływających ze wschodnich terenów II RP, co można zauważyć także w przytaczanych przez autora "Sąsiadów" "Informacjach Bieżących".

Na Białostocczyźnie w lipcu i sierpniu 1941 r. nie było więc przedstawicieli PPP, którzy mogliby reagować na wydarzenia. Nie było też siatek Oddziału II ZWZ (wywiad), zdolnych do weryfikacji wiarygodności pierwszych raportów zebranych przez dopiero co wysłanych w teren wywiadowców. Meldunki z lata

i wczesnej jesieni 1941 r., sporządzane w warunkach chaosu wywołanego przecaczającym się frontem i przy nieobecności struktur Państwa Podziemnego na Wschodzie, uznawano za mało wiarygodne. I to nie dlatego, że dotyczyły Żydów. Z podobnym sceptycyzmem w Warszawie i Londynie przyjmowano w 1943 r. pierwsze doniesienia o masowych mordach dokonywanych w 1943 r. przez Ukraińców na Polakach. Nie musimy zresztą sięgać do przykładu z Kresów Wschodnich. Zagłada Żydów, dziejąca się w sercu Polski - tam, gdzie struktury polskiej konspiracji były dobrze rozwinięte - początkowo również wydawała się czymś nieprawdopodobnym. Też powątpiewano w jej skalę. Taka niewiara charakteryzowała nie tylko polskie podziemie, ale i rządy zachodnich sojuszników, a nawet żydowską diasporę.

O państwie, z własnymi komórkami administracyjnymi, sądownictwem i ciałami przedstawicielskimi, możemy mówić dopiero od 1943 r. i to jedynie w odniesieniu do niektórych obszarów Generalnego Gubernatorstwa i większych miast wojewódzkich. W tzw. terenie, szczególnie na wschodzie, jedynym przedstawicielem PPP było podziemne wojsko - ZWZ-AK. Wyroki wydawał lokalny dowódca "w imieniu Polski Podziemnej" nie przejmując się specjalnie podstawami prawnymi podejmowanych działań.

Innym zagadnieniem jest problem przyjętych przez podziemie priorytetów. Dla Rządu RP na wychodźstwie, dla KG ZWZ i, rzecz jasna, alianckich przywódców bezwzględne pierwszeństwo miały zagadnienia pozwalające zwyciężyć Niemców. Stąd też informacje dotyczące dyslokacji sił, linii transportowych, zaopatrzenia, produkcji wojskowej czy morale żołnierzy niemieckich miały zdecydowanie większe znaczenie niż lokalne pogromy czy zbrodnie na ludności cywilnej - w oparciu o takie właśnie wiadomości podejmowano strategiczne decyzje. Możemy się oburzać na ten stan rzeczy, ale nie możemy go nie dostrzegać. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej był momentem przelomowym, tak bogatym w najcięższe gatunkowo wydarzenia, że mordy z Radziłowa czy Jedwabnego nie miały najmniejszych szans przebicia się ani na pierwsze strony podziemnych meldunków, ani do szerszej świadomości społecznej.

Ludzie z misją

Podjęta przez Grossa próba "tłumaczenia" przyczyn "milczenia" pracowników BiP wprawia w osłupienie. Według nowojorskiego historyka plk Jan Rzepecki oraz jego współpracownicy cierpieli na "wybiórczą ślepotę" spowodowaną "zhierarchizowaną, post-feudalną strukturą polskiego społeczeństwa". Ludzie ci mieli funkcjonować w prostym, dychotomicznym świecie, gdzie na jednym biegunie sytuowali się wyniośli, kulturalni, obojętni na problemy innych inteligenci, na drugim zaś "Chamy i Żydy" - czyli wszyscy ci, którzy nie byli inteligencją. Gross podkreśla, że klasowym modelem myślenia posługiwać się miała cała polska elita, niezależnie od poglądów społecznych czy politycznych, a więc także "lewicujący demokraci" w osobach pracowników BiP. Tymczasem to właśnie kilka pokoleń "lewicowych demokratów" pracowało od połowy XIX w. do wybuchu II wojny światowej, by "Żydy" i "Chamy" (ci drudzy nazywani

przez “lewicujących demokratów” “ludem”) stali się społeczeństwem. Można się zastanawiać, na ile skuteczna była to misja, ale założenie, iż “lepsze towarzystwo” z definicji jest obojętne na poczynania “chamstwa” nie jest prawdziwe, a w tym konkretnym przypadku - szczególnie krzywdzące.

Dla udowodnienia swojej tezy Jan Tomasz Gross odwołuje się do książki “Urwany lot” Hanny Świdy-Ziemby. Nie jest to w żaden sposób przekonujące. Nieporozumienie polega na tym, że prof. Świda-Ziemba pisze o świadomości pokolenia dorastającego w okresie II wojny światowej, które nie jest reprezentatywne dla wychowanego w zgoła odmiennych warunkach pokolenia ojców. Dla porządku przypomnijmy, że w 1941 r. Jerzy Makowiecki miał 45 lat, Jan Rzepecki - 42 lata, Aleksander Gieysztor - 25 lat, Stanisław Płoski - 42 lata, a bezpośrednio odpowiadający za sprawy narodowościowe w BiP (niewymieniony przez Grossa) Stanisław Herbst - 34 lata. Byli to więc ludzie dojrzały.

Prof. Świda-Ziemba stwierdza, że młodzież inteligentka wyniosła z wojny swoiste zobojętnienie na losy osób spoza własnej wspólnoty. Zaznacza jednak wyraźnie, że był to odruch nabyty na skutek okupacyjnej rzeczywistości. Wchodzący w okres okupacji, w pełni ukształtowani inteligenci tego zobojętnienia jeszcze nie czuli. Zostało ono “wypracowane” w warunkach okrutnej wojny: ekstremalnie trudne otoczenie zmuszało do rewizji dotychczasowych norm i zachowań. Kto jej nie dokonał, miał niewielkie szanse na przetrwanie. Ten, kto przeżył, mógł myśleć o pomocy innym czy o sposobach reakcji na otaczające go zło. Polskiemu inteligentowi, szczególnie na prowincji, przetrwać nie było łatwo.

Rozkawałkowany świat

Dlaczego zaś nie starano się mordów na Białostoczczyźnie wyjaśnić później - w 1942, 1943, 1944 r.? Odpowiedź również wydaje się prosta. Tamte wydarzenia zostały przesłonięte przez kolejne, dokonujące się w znacznie większej skali: zagładę całego narodu żydowskiego, zaostrzenie terroru okupanta wobec polskiej ludności, akcję “Burza”, hekatombę Powstania Warszawskiego, nadejście Sowietów niosących kolejną okupację.

Jak by to szokująco nie zabrzmiało, trzeba powiedzieć, że zbrodnie na Żydach dokonane w 1941 r. na Białostoczczyźnie są czymś wyjątkowym w swojej drastyczności przede wszystkim z naszego punktu widzenia: współczesnych, żyjących od kilkudziesięciu lat w warunkach względnej stabilności i pokoju. Dla Polaków przeżywających grozę wojny, także pracowników BiP, to, co się działo na Białostoczczyźnie w 1941 r., było tylko fragmentem obrazu składającego się głównie ze zbrodni, często nie mniej okrutnych i drastycznych, a przy tym dokonywanych na większą znacznie skalę niż to, co wydarzyło się w Jedwabnem, Radziłowie, Wąsoszu. Jeżeli zapoznamy się z opisami mordów popełnianych przez Ukraińców na polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej, ich drastyczność będzie równie porażająca. Mordowano całe polskie społeczności, z kobietami i dziećmi, palono ich żywcem, zabijano najprymitywniejszymi narzędziami. Działo się to przez długie miesiące na terytorium stanowiącym zna-

czącą część przedwojennej II RP. Żeby nie mówić tylko o polskich ofiarach, wspomnijmy o akcjach polskiego podziemia wobec Ukraińców, jak zamordowanie 5 marca 1945 r. 365 mieszkańców Pawłokomy (Pogórze Przemyskie) przez oddział AK Józefa Bissa "Wacława" i miejscowe samoobrony, czy też 6 czerwca 1945 r. przez Zgrupowanie NSZ Mieczysława Pazderskiego "Szarego" 194 mieszkańców Wierzchowin (Krasnystawskie). O wszystkich tych wydarzeniach zaczęto mówić na szerszą skalę też dopiero po kilkudziesięciu latach, po 1989 r.

Względność pamięci

Jan Tomasz Gross stawia pytanie przede wszystkim o powody milczenia podczas okupacji, ale można odnieść wrażenie, że zarzut dotyczy także czasów późniejszych. Niepodjęcie przez Jana Rzepeckiego czy Aleksandra Gieysztorą prób wyjaśnienia informacji pochodzących z 1941 r. bezpośrednio po zakończeniu wojny nie wymaga komentarza. Trudno wymagać cofania się do wydarzeń odległych o kilka lat (w tamtych warunkach były to prawdziwe "lata świetlne") wobec tego wszystkiego, co nadchodzi w 1944 i 1945 r.: sowietyzacji Polski, zmian granic, odbudowy kraju, podziemia niepodległościowego występującego teraz przeciwko nowemu okupantowi (przypomnijmy, że Jan Rzepecki był autorem koncepcji, współtwórcą i pierwszym prezesem stworzonego we wrześniu 1945 r. Zrzeszenia "Wolność i Niezawisłość", aresztowanym w listopadzie 1945 r., następnie ulaskawionym, w 1949 r. ponownie aresztowanym i uwolnionym dopiero w 1955 r.). Weźmy jeszcze pod uwagę, że BiPowska przeszłość nie była atutem w nowej rzeczywistości i wracanie do spraw związanych z własną pracą w tej newralgicznej komórce Komendy Głównej AK nie było z pewnością bezpieczne w pierwszym powojennym dziesięcioleciu.

Przyczyny kilkudziesięcioletniego milczenia na temat zbrodni w Jedwabnem czy Radziłowie były częścią dyskusji toczonej po opublikowaniu "Sąsiadów" i wszczęciu śledztwa przez IPN. Mówiono o cenzurze i blokowaniu przez komunistyczne władze podejmowania drażliwych tematów (Gross przypomina eufemizmy, do których zmuszony był w latach 60. Szymon Datner) oraz braku dostępu do dokumentów. Takie zniekształcenia percepcji historycznej rzeczywistości dotyczyły zresztą nie tylko kwestii najbardziej drastycznych, dziejących się w czasach wojennej zawieruchy na stosunkowo niewielkim terytorium. Niekiedy chodziło o wydarzenia stosunkowo nieodległe, obejmujące cały kraj i setki tysięcy ludzi. Po 1989 r. jeden z nas dotarł do niewykorzystywanych wcześniej przez historyków raportów sporządzanych przez terenowe komitety PZPR i Urzędy Bezpieczeństwa na temat społecznych nastrojów i zachowań w 1956 r. Wynika z nich zupełnie inny obraz polskiego Października niż ten wcześniej przyjmowany za oczywisty: był to wielki ruch o wymiarze niepodległościowym, antyradzieckim, antykomunistycznym, o bardzo silnej symbolice religijnej. Dowiadywaaliśmy się o wielkich manifestacjach ulicznych, starciach z siłami porządkowymi, burzliwych demonstracjach pod radzieckimi koszarami,

gdzie stacjonowała Armia Czerwona. Przez kilkadziesiąt lat o tym nie pisano. To chyba dobra ilustracja względności świadomości historycznej, i to zarówno w odniesieniu do rzeczy naprawdę drastycznych, wyjątkowych, jak i tych, które były przeżyciem masowym, ale nie utrwalonym, nie opisanym.

Chcemy być dobrze zrozumiani. Jesteśmy jak najdalej od pomniejszania wagi dla polskiej historii mordów na Żydach w Jedwabnem i Radziłowie. Jesteśmy zwolennikami ujawnienia pełnej, nawet najbardziej drastycznej prawdy na ten temat. Staraliśmy się zresztą w ciągu ubiegłych lat przyczynić do tego na miarę naszych możliwości. Ale trzeba to robić w sposób rzetelny i przemyślany, uwzględniający całą złożoność czasów wojny i okupacji; kontekst historyczny, którego tylko częścią były zbrodnie na Białostocczyźnie latem 1941 r. Wszystko było znacznie bardziej skomplikowane niż efektowna publicystycznie, ale odległa od rzeczywistości interpretacja Jana Tomasza Grossa.

Dr hab. Paweł Machcewicz jest historykiem, opublikował m.in. "Polski rok 1956" i "Historię Hiszpanii" (wraz z T. Miłkowskim). Był redaktorem i współautorem wydanych przez Instytut Pamięci Narodowej studiów "Wokół Jedwabnego". Od 2000 r. jest dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN.

Dr Rafał Wnuk jest historykiem, opublikował m.in.: "Konspirację akowską i poakowską na Zamojszczyźnie od lipca 1944 r. do 1956 r.". Obecnie zajmuje się problematyką polskiej konspiracji pod okupacją sowiecką w latach 1939-1941. Jest naczelnikiem lubelskiego Biura Edukacji Publicznej IPN i adiunktem Instytutu Studiów Politycznych PAN.

Jerzy Jedlicki
TP, nr 34, 2004.08.22

WIEDZA JAKO ŹRÓDŁO CIERPIEŃ

Nie było oczywiście żadnej zmywy, żadnego pilnie strzeżonego sekretu. Po prostu nikomu spośród tysięcy wiedzących nie zależało, żeby swoją wiedzę prywatną do kanonów wiedzy publicznej wprowadzić. Niełatwo żyć z pamięcią i wiedzą o Jedwabnem. Lepiej zapomnieć.

To przecież nie jest tak, że o czymś albo wiem, albo nie wiem, i tyle. Wiedzieć coś można mocno i pewnie albo tylko tak jakby. Mogę coś wiedzieć dziś, a nie wiedzieć jutro. Umysły nasze bezustannie selekcionują bombardujące nas wiadomości, a także interpretują je przypisując im większą lub mniejszą wagę i znaczenie, włączając je w ustalony system przekonań albo pozostawiając je na uboczu, jak grudki luźno doczepione do zasobu naszej świadomości, które mogą się okazać istotne w konflikcie z jej utwardzonym rdzeniem. Taki konflikt zwie się dysonansem poznawczym: jest to uczucie nieprzyjemne, które staramy się uśmierzyć tak modyfikując treść i sens nowych wiadomości, aby się w końcu zgodziły ze wszystkim, w co przywykliśmy wierzyć. Możemy oczywiście, w przypadku konfliktu, zmodyfikować przekonania pod wpływem nowych informacji, wymaga to wszelako większego wysiłku i krytycyzmu.

W przestrzeni społecznej, która powstaje dzięki komunikowaniu się ludzi między sobą, odbywa się to nie inaczej, co najwyżej trochę bardziej radykalnie, gdyż do normalnego procesu organizowania wiedzy prywatnej dołącza się lęk, aby się nie odróżniać od środowiska, w którym wzajemnie zwykliśmy uzgadniać pojmowanie siebie i świata.

Żyd wieczny intrygant

W potocznym obrazie świata w Europie środkowo-wschodniej Żyd był jednocześnie postacią centralną i zupełnie uboczną. Postacią centralną był Żyd wieczny tułacz, zabójca Chrystusa, truciciel, świętokradca, szpieg, spiskowiec, bogacz, lichwiarz, spekulant, komunista, zdrajca, udawany przechrzta, fałszywy patriota, nienawistny i na każdym kroku szkodzący wróg narodu polskiego (lub niemieckiego, rosyjskiego, litewskiego, ukraińskiego, węgierskiego i jakiego jeszcze chcecie). Bez tego mitycznego Żyda, z ukrycia rządzącego światem, nie mógł się i do dziś nie może obyć mentalny krajobraz polskiego narodowca, szczerego oczywiście patrioty i katolika, i każda z nim rozmowa, od czegokolwiek by się nie zaczęła, na Żydzie się skończy.

Postacią zaś zgoła uboczną, kiedyś elementem pejzażu, dzisiaj zabarwionego sentymentem wspomnienia, był ten czy ów Żyd prawdziwy, który miał imię, sklepik albo warsztat, żył w dostatku albo w nędzy, święcił szabas albo nie, poza tym mógł być syjonistą albo socjalistą, albo asymilantem, wielokrotnie upokarzany i przeciw upokorzeniom chroniący się za pancierzem dumy, i był

przywiązany do swego miasta, do swego kraju, choć miał z nimi gorzkie swoje rachunki.

Ofiarą zniewag, szyderstw, pogromów, morderstw, szantaży padali Żydzi rzeczywiści, ich rodzice, ich dzieci, ich domowe sprzęty, ale zawsze za usprawiedliwienie przemocy służył i do dziś służy Żyd mityczny. Pamięć tych pierwszych jest zamglona i zatarta, za to ten drugi, Żyd wieczny intrygant, jest do dziś w wielu chrześcijańskich umysłach niezastąpiony i zabić go nie można, ponieważ jest nieśmiertelny.

Gross ma więc rację: gdy do władz Polski podziemnej dochodziły mętne i niedokładne informacje o tym, że jacyś chłopci i mieszczanie w jakimś powiecie spalili jakichś Żydów, to zapewne były to wiadomości na tyle ważne, że warte umieszczenia w tajnym raporcie, ale nie tego, by im przydawać większe publiczne znaczenie, bo to się wydarzyło gdzieś tam, przy okazji i na uboczu wielkich zmaganiań narodu z najeźdźcą. Sprawa zaiste nieprzyjemna, gdyż mająca posmak karygodnej współpracy z okupantem, ale co robić: były to czasy trudnych wyborów i zdarzały się przy tym moralne zbłądzenia.

Niemniej to socjologiczne wyjaśnienie braku reakcji, jakie proponuje Gross, nie tłumaczy wszystkiego, bo przecież Komendant Główny pisał do Londynu o tym, jakie są nastroje w kraju i przestrzegał, że radiowe przemowy o solidarności z Żydami wywołują złe wrażenie. Rząd nie mógł wybrać sobie innego narodu, więc siłą rzeczy nie był szczególnie zainteresowany tym, aby z powodu tych niemiłych wydarzeń robić wielki hałas i przysparzać sobie politycznych kłopotów, jakby ich nie dość było w znękanym kraju i w stosunkach z aliantami.

Lepiej milczeć i zapomnieć

A i któż mógł być później zainteresowany rozgłaszaniem tego, co się w lipcu 1941 roku stało w kilku stodolach w dystrykcie szczuczyńskim czy łomżyńskim i w setkach innych miejsc, w których jacyś chłopci albo jacyś partyzanci zabijali jakichś Żydów? Mordercy mogli się przechwalać między sobą w karczmie, jak się który z nich sprawił i wymawiać tym, co się bardziej przy tej okazji obłowili, ale publicznie nie było się znowu czym chwalić, zwłaszcza po wojnie. Gdyby za to dawali ordery - powiada jeden z rozmówców Anny Bikont w książce "My z Jedwabnego" - to zaraz by się ustawiła kolejka. Orderów jednak nie dawali, tylko wyroki. Niewielkie wprawdzie, ale zawsze. Świadców zbrodni nie brakowało, ale też nie byli zainteresowani tym, żeby zbyt dokładnie świadczyć przed sądem, bo sąd daleko, a miasto blisko i za zbędne gadulstwo można było oberwać. A poza tym świadkowi też mogły się być dostać jakieś sprzęty po Żydach, więc po co kusić licho.

Sąd był jeden, drugi i trzeci, rozprawy przy otwartych drzwiach. Prof. Andrzej Rzepliński, karta po karcie analizując akta procesowe, pokazał, że ani oskarżyciele, ani sędziowie, ani oczywiście obrońcy nie mieli specjalnego interesu w tym, żeby się dowiedzieć, jak naprawdę było. Można to zrozumieć. Śledztwa i rozprawy musiały się odbyć, bo takie było prawo, że kolaboracja z niemieckimi okupantami nie może ująć bezkarnie. Ilu tam Żydów kto i jakim sposobem

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

zamordował, to już była materia mniej istotna: w końcu jak nie z rąk tych, to z rąk tamtych by zginęli, co za różnica. Średnio na procesie jedwabieńskim w Łomży w 1949 roku wypadło sześć minut na zeznanie jednego świadka, nikt nie zadawał kłopotliwych pytań, dwa dni wystarczyły na rozprawę. Nie starano się o nadanie sprawie rozgłosu, bo po co ściągać odium na powiat albo miasto. Władze w Warszawie też, jak widać, wołały zakończyć sprawę dyskretnie, bo dość było nieprzyjemności po Kielcach, a w ZSRR zaczynała się już walka z kosmopolityzmem i syjonizmem, więc tematu Zagłady, a cóż dopiero jej pomocników, lepiej było nie rozgrzebywać.

Ci, którym udało się przeżyć, choć mieli obowiązek zginąć, składali zaraz po wojnie relacje o swoich przejściach żydowskiej komisji historycznej, ale mało kto myślał o ich ogłoszeniu. Przyczyny były złożone. Nie wszyscy przecież chcieli wyjeżdżać, a jeśli się miało dalej żyć pośród Polaków, to lepiej było pamiętać wyświadczone przez nich dobro niż pogardę i okrucieństwo, których Zagłada bynajmniej nie wypaliła. Zresztą najgorsze wspomnienia trzeba było w sobie otorbić i uśpić, bo z nimi w głowie nie sposób było powrócić do normalnego życia. Stąd raz po raz słyzy się albo czyta wyznania ludzi, którzy o wojennych przeżyciach swoich rodziców dowiadywali się po kilku dziesiątkach lat: czasem dlatego, że rodzice nie chcieli dzieciom przekazywać stygmatu zgrozy i wykluczenia, a zresztą nowe życie niesło nowe, absorbujące problemy i pamięć czasu nieludzkiego do niczego nie była przydatna.

Ci, co Żydów ukrywali i ratowali od śmierci, też nie mieli powodu, aby się tym po wojnie chlępić. Jeśli mieszkali na wsi albo w małych miastach, gdzie wszyscy się znają, często zwyczajnie bali się niechęci sąsiadów, rzadko zdolnych uwierzyć w ich bezinteresowność - i ten strach, jak widać z zapisu rozmów Anny Bikont, trwał przez długie lata, czasem przez całe życie. Byli to zresztą w większości cisi bohaterowie, którzy uważali, że zrobili, co robić należało i o czym tu mówić.

Kiedy się czyta dwa grube tomy studiów i dokumentów "Wokół Jedwabnego", plon pracy zespołu badaczy z Instytutu Pamięci Narodowej, ma się nieodparte wrażenie, że właśnie w o k ó ł tego, co się stało w tamtej okolicy, istniała przez sześćdziesiąt lat zmowa milczenia, pieczęć tajemnicy, porozumienie, że nic się nie stało. No bo rzeczywiście - jak pisze Jan Tomasz Gross - "cóżby to miało znaczyć, że zdarzenia bądź co bądź niebanalne, których świadkami są dziesiątki tysięcy ludzi, nie przenikają do kanonów wiedzy o epoce?". Jak to w ogóle możliwe? Ale nie było oczywiście żadnej zmywy, żadnego pilnie strzeżonego sekretu. Po prostu nikomu spośród tysięcy wiedzących nie zależało, chociaż z nader różnych powodów, żeby swoją wiedzę prywatną do kanonów wiedzy publicznej wprowadzić. Z pamięcią i wiedzą o Jedwabnem, o Radziłowie, o innych takich miejscach jest źle i trudno żyć. Lepiej było nie wiedzieć, lepiej było zapomnieć.

Historycy? Historycy mają w końcu prawo wybierać sobie tematy i niechętnie podejmują takie, które mogą im przysporzyć rozterek i kłopotów. Czy nie dość przypomnieć, jaką burzę ściągnęli na siebie w 1968 roku autorzy i wydawcy encyklopedii PWN z powodu hasła o obozach Zagłady? W latach PRL-u obo-

wiążywała szczególna poprawność polityczna i my, historycy, z reguły jej ograniczenia i zakazy respektowaliśmy, aż weszło nam to w krew. Przez długie lata głównym źródłem wiedzy o żydowskich losach czasu wojny była w Polsce literatura: od Borowskiego i Rudnickiego po Wojdowskiego, Grynberga, Hannę Krall, Idę Fink. Historykom się nie spieszyło.

Jak się bronić przed wiedzą

W roku 1963 Władysław Bartoszewski ogłosił w "Tygodniku Powszechnym" oraz w wielu czasopismach w różnych krajach świata apel o nadsyłanie relacji dotyczących polskiej pomocy Żydom w czasie okupacji. Odpowiedź na tę ankietę była wyjątkowo chętna i obfita i z tego materiału - po selekcji - powstały dwa kolejne wydania antologii "Ten jest z ojczyzny mojej" (Znak 1966, 1969). Oczywiście i autorzy relacji, i redaktorzy tomu (Bartoszewski i Zofia Lewinówna) zdawali sobie sprawę z tego, że pełna poświęcenia, męstwa i współczucia pomoc nie wyczerpuje tematu postaw wobec Zagłady Żydów. Uważali jednak - i słusznie - że obowiązek wdzięcznej pamięci i krzepiącej satysfakcji moralnej nakazuje w pierwszym rzędzie oddać sprawiedliwość Sprawiedliwym. W ślad za tomem Bartoszewskiego i Lewinówny poszły liczne późniejsze monografie i zbiory relacji o zorganizowanych i indywidualnych formach ratowania Żydów. Pozostawało wszelako drugie, mroczne oblicze nieludzkiego czasu - zaprzeczenie ludzkiej solidarności - które w polskim piśmiennictwie zbywało się przeważnie eufemizмами, ażeby nie ranić niczyich uczuć i nie budzić upiorów. W ten sposób Sprawiedliwym przyszło wielokrotnie osłaniać donosicieli, szantażystów i morderców - misja, do której nie wszyscy zresztą, jeśli żyli, pozwalali się użyć.

W ostatniej dopiero dekadzie wysypały się monografie i rozprawy penetrujące historię nienawistnych stereotypów, dzieje agitacji antysemitycznej w Polsce, pogromów, wreszcie formacji ideowych, policyjnych i zbrojnych, mających swój skromny udział w prześladowaniu i wylapywaniu ginących. Rzecz znamienne, że autorami tych opracowań są z reguły badacze urodzeni po wojnie, nie obciążeni własnymi przeżyciami. Film "Sąsiedzi" Agnieszki Arnold i książka Jana Tomasza Grossa pod tym samym tytułem to były bezsprzecznie najbardziej przerażające opowieści w tej serii, która definitywnie zamknęła półwiekowy okres wstydlivych przemilczeń i niedomówień.

Opowieści te zadziały z siłą eksplozji. Zainspirowały wielogłosowy program badawczy, który już zaowocował tomami IPN-u, studiami Andrzeja Żbikowskiego, książką Anny Bikont i będącymi w toku pracami wielu innych historyków, socjologów i polonistów. Wzbudziły gorączkową, lecz w sumie głęboką i poważną debatę publiczną o problemach winy, o ciężarze historycznego dziedzictwa, potencjalnościach ludzkiej natury i konfliktach narodowego sumienia. Debata ta, której najważniejsze wypowiedzi są utrwalane w antologiach i zbiorach artykułów, pozostanie ważnym świadectwem etycznej dojrzałości polskiej myśli i ona sama stanie się bez wątpienia tematem wielu przyszłych opracowań. Równocześnie uruchomiła ona także potężne mechanizmy obronne, mające

chronić autorów i czytelników przed porażającym działaniem historycznej prawdy.

Postawa obronna, pomijając skrajne wyjątki, nie wynika oczywiście z poczucia solidarności z mordercami, lecz z przekonania - nie bezzasadnego przecież - że książka Grossa rozszerza społeczny zakres odpowiedzialności ukazując związek między doktryną religijną, rasową i narodową nienawiści a moralnym zdziwieniem morderczego tłumu. W rzeczy samej, związek ten w dalszych źródłowych studiach Dariusza Libionki, Anny Bikont i innych jawi się jako niemożliwy do zaprzeczenia. Rzecznicy endeckiej mentalności, wciąż żywej i odradzającej się, trafnie odczuli, że ich świat wartości został objęty oskarżeniem. Najprostszą strategią obronną stało się tedy podważanie wiarygodności źródeł tudzież pleniące się paszkwile na "sto kłamstw" Grossa, działającego - jakżeby inaczej - w finansowych interesach żydowsko-amerykańskiej plutokracji. Proboszcz z Jedwabnego i biskup z Łomży udzielili gorliwego wsparcia tego rodzaju fantazmatom.

Książka Anny Bikont przedstawia zdumiewający rejestr sposobów adiustowania przez ludzi własnej ich pamięci, odpierania najbardziej oczywistych świadectw, zaklamywania świadomości i wiedzy. Kto wie, może w pojedynczych przypadkach operacje takie dokonują się świadomie i cynicznie? Typowe jednak zdaje się raczej bezwiedne przewyciężanie konfliktu faktów z przekonaniami, w którym fakty z reguły przegrywają. Daremne są wszelkie argumenty: żadne świadectwo ani racjonalna perswazja nie przebiją się do nieprzemakalnej świadomości antysemity, który zawsze wie lepiej, z góry i raz na zawsze.

Niemniej wiarygodność "Sąsiadów" była kwestionowana także z pobudek szlachetniejszych, mianowicie z powodu trudności pogodzenia się z siermiężnym, nie wyidealizowanym obrazem polskiego społeczeństwa, czy choćby tylko pewnych jego segmentów. W tej intencji wielu krytyków Grossa starało się osłabić lub ograniczyć nośność wniosków, jakie można było wysnuć z przedstawionych przez niego świadectw. Spierano się o liczbę Żydów, którzy padli ofiarą rzezi, o liczbę i rolę Niemców, którzy mieli przy niej asystować, o liczbę i kondycję społeczną Polaków, którzy wzięli w niej jakiś udział: czy to byli zwykli ludzie, czy zdemoralizowane męty społeczne. A także o tym, czy i w jakiej mierze ofiary same na siebie ściągnęły gniew ludu. Diabeł - przypominał poważny historyk - często siedzi w rozmaitych szczegółach.

Szczegółów od tego czasu przybyło, aż nadto. Odnalazły się akta sądowe, zeznania, niewykorzystane relacje, stare, nigdy nie rozcięte czasopisma łomżyńskie, wspomniane już dokumenty Polski Podziemnej, nowi świadkowie - i diabeł miał się coraz lepiej, a myślący czytelnicy (bez względu na swoje rodowody) coraz gorzej. Oprócz jednego przypadku nie zdarzyło się jednak, aby którykolwiek z polemistów, zapalczywych obrońców Dobrego Imienia Miasta i Narodu, powiedział: przepraszam, myliłem się. Co to, to nie, nie takie są nasze obyczaje.

Wiedzy zakopać z powrotem w archiwach się nie da. Ona pozostanie. Problem polega na tym tylko, co z nią uczynimy. Dobrze to ujął Jan Tomasz Gross we wcześniejszym swoim artykule w "Tygodniku Powszechnym": "Ludobójstwo

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

w Jedwabnem to wyzwanie dla nas na dziś, a nie po prostu zaszłość, która spada nam na głowę. Możemy w tej sprawie zrobić bardzo wiele. I od nas zależy, czy uniesiemy ten ciężar, odzyskując przy okazji zaufanie do siebie i wiarygodność w oczach Zachodu, czy też pograżymy się w obronnym geście zacukania, głęboko przeświadczeni, że wszyscy i tak są przeciwko nam”.

Korzystałem z książek: “Wokół Jedwabnego” pod red. Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka, tom 1: Studia; tom 2: Dokumenty, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2002. Anna Bikont, “My z Jedwabnego”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004. Jan Tomasz Gross, “Wokół »Sąsiadów«: polemiki i wyjaśnienia”, Pogranicze, Sejny 2003. Marcin Kula, “Uparta sprawa: Żydowska? Polska? Ludzka?”, Universitas, Kraków 2004.

JERZY JEDLIŃSKI jest profesorem historii, pracuje w Instytucie Historii PAN, przewodniczy Radzie Programowej Stowarzyszenia “Otwarta Rzeczpospolita”. Opublikował m.in. “Źle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym” (1993), “Świat znyrodniały” (2000) i “Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują” (wyd. II: 2002).

Z WILEŃSKIEJ PERSPEKTYWY

Ileż to się nie udało, a społeczeństwo źle się zachowało, mówiono, że nie chodzi o naród, ba, nawet nie o lud, ale że winien jest motłoch, tłuszcza albo chuliganeria. Tak komentowano drastyczne zachowania w roku 1968, 1970, nawet 1980. Tekst Grossa nie dotyczy wyłącznie spraw polsko-żydowskich. Na jego marginesie ujawnia się nowy problem - relacji między inteligencją a ludem.

O sprawie Jedwabnego dowiedziałam się - jak niemal wszyscy - po ukazaniu się książki "Sąsiedzi" Jana Tomasza Grossa. Wiadomość okazała się wstrząsem. Gdyby informacja o mordach na Podlasiu dotarła do nas o wiele wcześniej, podczas wojny lub tuż po jej zakończeniu, wstrząs nie byłby mniejszy - mimo obowiązującej wówczas "twardości", mimo że o rodzinnych tragediach mówiło się wtedy jednym, beznamietnym zdaniem: "Ojca wywieźli, dom spalili". Tak jak wstrząsem dla mojego pokolenia okazało się getto ławkowe, o którym po raz pierwszy usłyszeliśmy dopiero po wojnie (pamiętać trzeba, że rodzice nigdy nie ujawniali swoich poglądów politycznych przy dzieciach i tę zasadę wychowawczą zmieniły dopiero czasy powojenne). Tak jak wstrząsem był pogrom kielecki. W 1945 r. byłam w Łodzi, uchodzącej za miasto antysemityczne. Mieszkaliśmy z ludźmi bardzo prostymi i to oni pytali ze zgrozą: "Jacyż ludzie mieszkają w Kielcach? To chyba nie ludzie, a zwierzęta".

Oczywiście w czasie wojny istniały specyficznie polskie problemy. Ale pamiętam, jak w okupowanym przez Niemców Wilnie - w którym podobno szalała endecja - Polacy przeżywali masakrę Żydów na Ponarach. Choć Wilno miało już za sobą transport wywiezionych mieszkańców, choć Niemcy rozstrzelali zakładników, choć ludzie zdawali sobie sprawę, że powojenne losy miasta są niepewne, jednak współczuli mordowanym Żydom. Opowiadano o mordzie ponarskim - dokonanym przez Litwinów z inspiracji niemieckiej. Niewykształcone, bogacące się na szmuglu kobiety z ludu płakały, słysząc o wystających z ziemi rączkach dzieci pogrzebanych żywcem. Mówiono, że gdyby ogłoszono konkurs na kata, zgłosiłyby się cztery miliony Litwinów. O reakcji społeczeństwa polskiego na masakrę ponarską pisałam w "Hańbie obojętności" ("GW", 23 września 1998 r.). To przeżycie było krótkie, jak to na wojnie, ale bardzo silne.

Mnóstwo Kainów jest pośród nas...

Dlatego nie sądzę, by wiadomość o Jedwabnem pozostawiła Polaków, a zwłaszcza inteligencję, obojętnymi. Trzeba było jakoś ustosunkować się do tego, że lud polski - i to wspólnie z Niemcami - spalił Żydów. Ten rodzaj

śmierci - straszniejszej niż komory gazowe - nie jest tu bez znaczenia, a im więcej byłoby tam Niemców, tym gorzej. Nawet gdyby było ich wielu, a Polaków tylko kilku, jeszcze bardziej w oczach rodaków byłiby zdrajcami. Może morderców z Jedwabnego uznano by za szmalcowników, a może nie (w końcu ci ostatni nie mordowali własnoręcznie). W każdym razie, gdyby ta wiadomość dotarła w okresie okupacji do opinii publicznej, coś by z nią, jak sądzę, zrobiono. Nie dotarła.

Dlaczego? Może rzeczywiście - jak pisze Gross - elity uznały, że sprawa między "chamem a Żydem" ich nie dotyczy. Przypomnijmy, że ilekroć coś się nie udało, a społeczeństwo źle się zachowało, mówiono, że nie chodzi o naród, ba, nawet nie o lud, ale że winien jest motłoch, tłuszcza albo chuliganeria. Tak komentowano przecież drastyczne zachowania (np. brygady robotnicze palące studentów) w roku 1968, 1970, nawet 1980. W okresie Solidarności zaczęto odróżniać robotników wykwalifikowanych od tłuszczy, która - zdaniem inteligencji - miała ten ruch zepsuć. Tekst Grossa nie dotyczy wyłącznie spraw polsko-żydowskich. Na jego marginesie ujawnia się nowy problem - relacji między inteligencją a ludem.

Moim zdaniem, w czasie wojny był jednak jeszcze jeden - istotny - powód milczenia. Tak, jak dla dobra młodzieży nie należało przy niej mówić o polityce, tak i ludzi walczących o niepodległość nie należało obarczać wiedzą o niegodziwościach Polaków. W czasie wojny nie oczernia się własnej grupy, żeby nie łamać jej ducha. Potrzebna była legenda Polski czystej, świętej, wielkiej. Potrzebne było poczucie jedności narodowej. Pisano, że zdrajcy są likwidowani, ale dopiero po wojnie dowiedziałam się, jak wielu ludzi podpisywało Volkslistę. Pisano o mordach ukraińskich, ale nie o polskich zemstach na ukraińskiej ludności cywilnej. Prawicowe gazetki podziemne zasadniczo różniły się od lewicowych: inaczej pisały o Niemcach, Żydach, przyszłości Polski. Ale nie psociono na siebie wzajemnie, nie ujawniano konfliktów we władzach podziemnych. Analogiczna sytuacja miała miejsce w Solidarności po ogłoszeniu stanu wojennego - różnice zdań i ostre podziały ujawniły się dopiero po 1989 r. Jestem przekonana, że gdyby nie było PRL, o sprawie Jedwabnego zaczęto by mówić bardzo szybko po wojnie.

Choć istniał sposób, by już w czasie wojny zinterpretować zdarzenia na Podlasiu, nie gasząc ducha walki. Przypomnieć tu trzeba historię Jakuba Szeli i rzezi galicyjskiej z 1846 r. oraz jej dziewiętnastowieczną interpretację - hymn "Z dymem pożarów": "O Panie, Panie, że zgrozą świata okrutne dzieje przyniósł nam czas / syn zabił matkę, brat zabił brata / mnóstwo Kainów jest pośród nas". I dalej: "Ależ, o Panie, oni niewinni, choć naszą przyszłość cofnęli wstecz / Inni szatani byli w tym czynni / O rękę karaj, nie ślepy miecz". Z podobnego przedstawienia rzezi podlaskich mogłoby płynąć wezwanie, by inteligencja nawet w czas wojny nie ustawała w pracy nad oświeceniem ludu, który - jak Szela - znów dał się uwieść okupantowi.

Jak sobie przypominam z rozmów dorosłych przed wojną, zdaniem inteligencji (oczywiście nieendeckiej, wzywającej do wykluczenia) Żydzi stanowili część ludu i wymagali uświadomienia obywatelskiego. Ciągłe żywy był postulat ser-

decznej asymilacji, dotyczący także Białorusinów czy Ukraińców. Już w czasie wojny, w szkole nazaretanek uczono nas, że Żydzi to biedni ludzie, którzy nie dostąpią zbawienia, bo nie zostali ochrzczeni i namawiano, byśmy nasze żydowskie koleżanki dyskretnie prowadziły do księdza. Sama "nawróciłam" trzy dziewczynki. Udawało mi się, bo wielkie wrażenie robił na nich Chrystus. Bóg judaistyczny był zbyt daleki, surowy i nie do końca osobowy, a w dodatku rozmawiał prawie wyłącznie z dorosłymi. A ja im opowiadałam o chłopczyku, który się zgubił rodzicom, pomagał ojcu w stolarstwie, a potem mówił "pozwólcie dzieciom przyjść do mnie".

Nigdy jednak nie usłyszałam od sióstr zakonnych, że to Żydzi ukrzyżowali Chrystusa. Zawsze mówiły o ślepym fanatyzmie tłumu - tego samego, który wcześniej wołał "Hosanna". Wiem też, że proboszczowie - jak ks. Lucjan Perświat-Soltan w Kolonii Wileńskiej - załatwiali Żydom fałszywe metryki.

Legenda "czystej Polski"

Nie wiem, dlaczego Gross przenosi odpowiedzialność elit na lata powojenne. Wojna nie skończyła się tak, jak pragnąłby tego naród polski. W 1945 r. nikt - przede wszystkim Żydzi, którzy przeżyli Zagładę - nie chciał rozdrapywać wojennych ran. Teresa Walas w recenzji z mojej książki "Urwany lot" pisze, że wszystkich ogarnął wtedy elan vital, poryw życia. Potem przyszedł stalinizm. Debata społeczna stała się niemożliwa, a władze komunistyczne, występujące w propagandzie jako reprezentacja proletariatu polskiego, wyraźnie nie chciały eksponować antysemityzmu Polaków. Poza pogromem kieleckim, którego nie dało się ukryć i który próbowano przypisać AK, po prostu o tym nie mówiono. Do świadomości społecznej nie przebił się przecież nawet pogrom krakowski z sierpnia 1946 r.! Z drugiej strony, gdyby komuniści przedstawili najbardziej nawet przekonujące dowody zbrodni w Jedwabnem, ich przeciwnicy, a więc większość inteligencji, by im nie uwierzyli. Legendy czystej Polski potrzebowaliśmy aż do 1989 r.

Milczenia o Jedwabnem nie mógł przełamać rok 1968, kiedy - posługując się hasłami antysemickimi - uderzono zarówno w Żydów, jak w inteligencję. Tadeusz Kotarbiński demonstracyjnie spacerował po Krakowskim Przedmieściu ze swoim wrogiem z czasów stalinowskich - Bronisławem Baczką. Poszczególne wydziały uniwersytetu potępiały antysemityzm, choć groziło im za to rozwiązanie. Powtarzaliśmy, że jak wyrzucą z Polski Żydów, w partii komunistycznej zniknie nurt liberalny, a nas, bezpartyjnych inteligentów, czekać będą lata grozy.

Potem do władzy doszedł Edward Gierek. "Ocena roku 1968 pozostaje niezmienną" - mówili jego notable. Milczenia nie mógł też przełamać ani KOR (który jako pierwszy wyłom w uśpionej świadomości budził zażenowanie, a nawet nieufność), ani "Solidarność", która miała co innego do roboty. Autokrytycyzm ujawnia się w czasach stabilizacji. Debata o Jedwabnem rozpoczęła się wtedy, gdy stało się to możliwe: gdy Polska naprawdę odzyskała niepodległość.

Historyk ahistoryczny?

W dyskusji, która rozpoczęła się na łamach "TP" po najnowszym artykule autora "Sąsiadów", zaskakuje tekst Pawła Machcewicza i Rafała Wnuka, zarzucający Grossowi ahistoryczność. Tymczasem procesy społeczne niedawnej przeszłości podlegają zarówno analizie historycznej, jak socjologicznej. Gross stawia pytania o charakterze historycznym: dlaczego fakt dobrze znany władzom podziemnym nie przedostaje się do ówczesnej opinii publicznej? I próbuje odpowiedzieć, posługując się metodami socjologicznymi - wchodząc w mentalność tamtego okresu.

Moim zdaniem, to Machcewicz i Wnuk grzeszą ahistorycznością. Bardzo ogólnie piszą o "terenach wschodnich poza Generalnym Gubernatorstwem". Nie zauważają, że np. Lwów należał do GG. Ani słowem nie wspominają o Wilnie - najważniejszym obok Warszawy ośrodku oporu. Powinni posługiwać się precyzyjnym określeniem "Białostoczczyzna" - w kontekście tamtych zdarzeń ma to ogromne znaczenie.

Wileńszczyzna i Białostoczczyzna graniczyły ze sobą. Obydwa regiony przeżyły okupację sowiecką. Bardzo się jednak różniły. Jak dobrze pamiętam, za czasów bolszewickich nie mówiono w Wilnie, że rządzą nami Żydzi, ale Rosjanie i Litwini. W mojej klasie było wówczas sześciu chłopców żydowskich. Pięciu przedstawiało się jako Polacy wyznania mojżeszowego, jeden jako Żyd wyznania mojżeszowego. Mowy nie było, że chcą zostać pionierami, choć podlegali szczególnym naciskom; szczególnie ten, który wywodził się z rodziny syjonistycznej. Mieliśmy tylko jednego pioniera w klasie, Polaka z rodziny komunistycznej.

Gdy zaczęła się wojna niemiecko-rosyjska, mówiło się żartem: "Niemcom nogi myć i wodę pić, że zaczęli wojnę z Rosją, a my błogosławmy chwilę, bo gdzie dwóch wrogów się bije, tam się wykrwawia i powstanie Polska". Ale nikt nie twierdził, że Niemcy to mniejszy wróg niż Rosja. Trwały spory, czy ta wojna zmieni Rosjan, czy powrócą - nawróceni. Można było zauważyć pewną życzliwość wobec tych spośród nich, z którymi porozumiewał się Władysław Sikorski i którzy jednak byli aliantami. A jednocześnie i pewną życzliwość wobec Niemców, bo wyrzucili Rosjan, którzy, nawet jeśli wrócą, to odmienieni. Mówiliśmy też, że Rosjanie to dzicz, a Niemcy to wróg przewidywalny, przy którym łatwiej konspirować. Nie widziałam, choć laziłam wtedy po całym mieście, by ktoś w Wilnie witał Niemców kwiatami, jak zdarzało się podobno na Białostoczczyźnie.

Machcewicz i Wnuk nie mają także racji, pisząc o słabej sieci komunikacyjnej między Warszawą a terenami wschodnimi, gdyż z Warszawy była ona do Wilna bardzo dobra. Dowiadywałam się z konspiracyjnych gazetek i rozmów dorosłych, że NSZ-owcy zabijają Żydów pod pretekstem, że zabijają komunistów oraz że głoszą chęć wyekspediowania po wojnie Żydów do Palestyny. Wiedziałam o łapanekach w Warszawie czy Krakowie. W Wilnie wszyscy byli tym zdziwieni, bo tu nie było łapanek. Po co one Niemcom - pytaliśmy - skoro wszy-

scy, którzy otrzymywali wezwania, szli do Arbeitsamtu, wiedząc, że jeśli się nie zgłoszą, odpowiedzialność poniosą ich rodziny.

W gazetkach pisano, co działo się w Warszawie - dzień po dniu - podczas Powstania. Pisano o powstaniu w getcie oraz Zagładzie, choć byłam przekonana, że dokonuje się ona tak, jak w Wilnie, poprzez masowe rozstrzeliwania. O komorach gazowych dowiedziałam się dopiero po wojnie - z "Dymów nad Birkenau" Seweryny Szmaglewskiej. Przypuszczam jednak, że konspiracja w ogóle niewiele miała informacji o komorach gazowych. Mało tego, rodzice przygotowywali dzieci na to, że nas, inteligencję, spotka wkrótce los Żydów. Jeśli w ogóle można mówić o braku informacji, dotyczył on terenów należących do tzw. Reichu, np. Śląska. A o tym Machcewicz i Wnuk w ogóle nie wspominają. W ich tekście najbardziej oburza mnie jednak co innego. Otóż w pewien sposób potwierdzają oni tezę Grossa, dając do zrozumienia, że w gruncie rzeczy mord w Jedwabnem w warunkach wojny naprawdę był sprawą nieważną, ot, jeszcze jedną spaloną wsią, o której szybko się zapomina. Ale przecież ta wiadomość wprowadziłaby w nasze ówczesne życie istotny dysonans poznawczy: ten straszny mord został popełniony przez Polaków. I dlatego był inny niż wszystkie, zmuszający przynajmniej do poważnej debaty - nawet w czas wojny.

Prof. Hanna Świda-Ziemia jest socjologiem. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Ostatnio wydała książkę "Urwany lot" (WŁ) poświęcony pierwszemu powojennemu pokoleniu młodzieży.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

TP, nr 36, 2004.09.05

O PROBLEMACH NIEPAMIĘCI REFLEKSJA OSOBISTA

Jaką postawę zajęła inteligencja wobec zbrodniczego zła dziejącego się podczas okupacji niemieckiej na ziemiach polskich? Chciałbym zabrać głos nie tyle w sprawie, co do której nie ma większych różnic w poglądach - że zła nie przeciwstawiono się dostatecznie skutecznie - ile podzielić się refleksjami świadka epoki, ściśle związanego ze środowiskiem, do którego odnosi się Jan Tomasz Gross.

Spośród dotychczasowych dyskutantów jestem chyba w sytuacji najtrudniejszej i najłatwiejszej zarazem. W tamtych latach żyłem świadomie i sprawy wojny znam z doświadczenia. Wszystkie osoby wymienione przez Grossa znałem osobiście - co więcej, tak się paradoksalnie składa, że w 1943 r. poznałem późniejszą matkę Grossa, łączniczkę Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, Hanę Szumańską. Stykałem się z jej kolegami, najbliższym otoczeniem. Jestem więc uprzywilejowany i skrupowany zarazem.

Fakty potworne i nieznanne

We wrześniu 1940 r. trafiłem do obozu koncentracyjnego Auschwitz jako jeden z 20 tys. Polaków represjonowanych w tzw. Akcji AB, przeprowadzanej w Generalnym Gubernatorstwie. "AB", czyli Auserordentliche Befriedungsaktion - nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna. Tysiące inteligentów polskich miało być aresztowanych i represjonowanych; kilka tysięcy podejrzanych - rozstrzelanych. Tak też się stało. Akcja trwała od maja do września 1940 r., jej ofiary trafiły do różnego typu więzień i obozów gestapo, z preferencją Oświęcimia, do którego wywieziono kilka tysięcy ludzi. Oświęcim nie był wtedy jeszcze ani obozem międzynarodowym, ani ośrodkiem zagłady. Wprawdzie polskich więźniów w ogromnej większości w ciągu kilku miesięcy wyniszczono, ale nie istniał formalny plan zabicia wszystkich. Obóz był "jedynie" egzemplifikacją pogardy i nienawiści wobec podludzi, jakimi byli Polacy.

W Oświęcimiu mieliśmy poczucie kompletnego odosobnienia. Dochodziły do nas - rzadko i nieoficjalnie - niemieckie gazety wydawane na Śląsku i w Krakowie, np. dziennik "Krakauer Zeitung". Najbardziej utkwily mi w pamięci nie głupie hitlerowskie artykuły polityczne, które oświetlały sytuację wojenną tak samo jak gazety berlińskie czy drezdeńskie, ale "praktyczne" rubryki, np. ogłoszenia dostępnych również dla Polaków restauracji, kawiarni. Myśleliśmy: "My tu ginimy, a tam są czynne lokale, do których ktoś chodzi". To były ciężkie chwile rozgoryczenia ludzi, którzy poczuli się opuszczeni.

Wróciłem z Oświęcimia do Warszawy w kwietniu 1941 r. w wyniku zabiegów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (w chwili ujęcia byłem pracownikiem

PCK). Zwolniono mnie jako 19-latkę, który przeżył śmierć 4/5 ludzi z nim zabranych i miał świadomość, że był wobec tego faktu bezradny; że dzieją się rzeczy potworne, o których świat najpewniej nic nie wie i o których pełnego pojęcia nie ma także moje otoczenie - inteligentna urzędnicza rodzina, znajomi, przyjaciele.

Gdy wywożono mnie do obozu, w Warszawie nie było jeszcze getta dla Żydów. Przesiedlano już ludzi, ale nie było murów odgradzających, dlatego ludzie upokarzani obowiązkiem noszenia opasek z gwiazdą mogli się poruszać po innych ulicach. Tę sytuację dość wiernie pokazał Roman Polański w filmie "Pianista". Wiem z rozmów z Władysławem Szpilmanem i innymi ocalałymi z getta, że nie mieli oni pojęcia o Oświęcimiu i że w gruncie rzeczy nie mogli to ich obchodzić - codziennie walczyli, by mieć coś do jedzenia, zdobyć lekarstwo dla chorego, pogrzebać zmarłego.

Coś nie do uwierzenia

Nie jest przypadkiem, że stan świadomości ludzi był nieadekwatny do rzeczywistości. Nie tyle nie było informacji, co nie traktowano ich jako w pełni wiarygodnych. Marek Edelman w wydanej w 1945 r. w Łodzi broszurze "Getto walczy" pisał, że gdy przyszły pierwsze wiadomości o Treblince, ludzie nie chcieli w nie wierzyć. Nie chcieli, bo byli normalni; nienormalny był hitleryzm. Nie chciano wierzyć, że na masową śmierć wysyła się ludzi, którzy mogą pracować. To było nielogiczne, absurdalne, odbiegające od praktycznego myślenia - bo cały system totalny był niewyobrażalny dla normalnych ludzi.

W 1941 r. dowiedzieliśmy się o niemieckiej napaści na Sowiety i o tym, co się dzieje z podbitą ludnością, a co dziś jest m. in. przedmiotem krążącej po Niemczech, szeroko dyskutowanej wystawy "Zbrodnie Wehrmachtu". Wiedzieliśmy, że za Wehrmachtem idą cztery grupy Einsatzkommando, specjalnych oddziałów złożonych z formacji policyjnych i służb bezpieczeństwa. Zajmowały się one oczyszczaniem zdobytego terenu ze zwolenników komunizmu, elementów bezwartościowych, potencjalnych wrogów III Rzeszy i Żydów, którzy stanowili procentową większość ofiar. Te cztery grupy, od krajów bałtyckich do Morza Czarnego, zamordowały 500-600 tys. ludzi.

W Warszawie, Lublinie czy Krakowie ani Polacy, ani Żydzi nie przyjmowali tych faktów do wiadomości w sposób adekwatny do wydarzeń. "Przetrawiali" je nieliczne grupy inteligentów zaangażowanych w komórkach sztabowych Związku Walki Zbrojnej (później AK) i w komórkach Delegatury Rządu, które gromadziły materiały o zbrodniach niemieckich (nie tylko sub specie gett czy konkretnego obozu). Dla takich komórek opracowałem relację o Oświęcimiu, który w ciągu następnego miesiąca ewoluował do czegoś, co nie było porównywalne fizycznie - choć moralnie tak - z wydarzeniami w Radziłowie, Jedwabnem czy kilkunastu innych wioskach.

20 stycznia 1942 r. w berlińskiej willi nad jeziorem Wannsee zdecydowano o wymordowaniu 11 mln Żydów w Europie, także w państwach neutralnych: Hiszpanii, Portugalii, Szwecji, Szwajcarii, w niezdobyczej Anglii i tych krajach,

które, niestety, były już we władzy III Rzeszy. Przypadki śmierci głodowej czy z chorób w gettach zastąpiło planowe selekcjonowanie i mordowanie - lub zsyłanie do obozu - różnych kategorii ich mieszkańców.

Te fakty, doskonale znane, w świadomości Żydów funkcjonowały jako dopust Boży, tragedia, która dotyka jednak tylko grup ludzi, bo młodzi, zdrowi i silni przeżyją. Trzeba było wielu miesięcy, by w Warszawie i Krakowie powstała Żydowska Organizacja Bojowa, dająca jednoznaczna i bynajmniej nie powszechnie akceptowaną odpowiedź na te wydarzenia: Niemcy nam wszystkim zagrażają, musimy się zorganizować i czynnie przeciwstawić mordowaniu - nie dlatego, że możemy ich pobić, ale dlatego że nie zgadzamy się na bierność. Latem i jesienią 1942 r. głównymi ośrodkami oporu były Warszawa i Kraków; w mniejszym stopniu Zagłębie Dąbrowskie oraz getta i obozy pracy, gdzie jeszcze nie zabijano.

To wtedy właśnie uświadomiono sobie, że wyobrażenia o dalszym przebiegu wojny i stopniu zagrożenia trzeba zmienić. Pisał o tym Marek Edelman, a także uczestnicy żydowskich walk i działań konspiracyjnych, którzy trafili po wojnie do USA, głównie jednak do Izraela. Tam skupili się w kibucu imienia Bohaterów Getta Warszawskiego w Galilei, niedaleko od Hajfy.

Kiedy podnieść larum?

Tekst Grossa traktuje o tym, co wydarzyło się w kilku czy kilkunastu wioskach białostockiego Podlasia i było uważane za kolaborację z Niemcami; objaw wynaturzenia, który Instytut Pamięci Narodowej słusznie nazywa zbrodnią wobec Rzeczypospolitej, nie podlegającą przedawnieniu.

Jak patrzyliśmy na te zdarzenia w Biurze Informacji i Propagandy AK? Pojęcie ludobójstwa nie było jeszcze prawnie sformalizowane. Badano jednak zjawisko terroru. Gross przytacza szereg faktów rejestrowanych i komunikowanych władzom cywilnym oraz wojskowym w Londynie. Pisze: "Dlaczego nawet ci mili, mądrzy i przyzwoici ludzie - mówię o wymienionych wcześniej pracownikach BIP-u (...) - na wieść o tych potwornych zbrodniach nie podnieśli larum pod niebiosa, nie rwali sobie włosy z głowy, choć to przecież była katastrofa, na którą prasa podziemna i władze powinny natychmiast zareagować?".

Od kiedy należało rwać włosy z głowy i krzyczeć? Czy od rozstrzelania stu niewinnych ludzi w Wawrze w grudniu 1939 r.? Czy po egzekucjach kilkudziesięciu tysięcy polskich inteligentów, w tym księży i nauczycieli, na Pomorzu, w Wielkopolsce i częściowo na Śląsku? To była przecież masowa zbrodnia, nie skrajny obrachunek ad personam z przeciwnikiem czy uczestnikiem walki czy partyzantki, której wtedy nie było. A może krzyczeć należało wtedy, gdy w lesie palmirskim rozstrzeliwano setki ludzi, w tym inteligencję żydowskiego pochodzenia?

Wtedy zginął m.in. major służby stałej Wojska Polskiego pan Lewin, ojciec mojej koleżanki Zofii Lewinówny, z którą wydałem książkę "Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom". Major Lewin zginął jako polski oficer. Podobnie jak, o czym wspomina w tekście prof. Gross, pierwszy mąż jego mat-

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

matki. Wdowa była jedną z wielu tysięcy osób, które w pierwszej fazie wojny straciły najbliższych w wyniku polityki okupanta: ojca jako polskiego adwokata w Oświęcimiu, męża jako z pochodzenia “niearyjczyka”.

Czy mieliśmy podnieść larum po zesłaniu do Oświęcimia pierwszych 5 tys. polskich inteligentów, następnych 5 tys., czy w sumie dwudziestu kilku tysięcy? Czy należało krzyczeć, gdy ze Lwowa i Wilna, z Łucka i Wołyńa deportowano nie tylko ziemian, oficerów, księży, ale leśników, kolejarzy i osadników, którzy mieli kilka hektarów?

Takie ahistoryczne spojrzenie było obce środowisku, w którym się obracałem od 1942 r. po zaprzysiężeniu w BIP AK. Zostałem podwładnym Jerzego Makowieckiego. Kolegami byli mi m.in. Antoni Szymanowski, Stanisław Herbst, Henryk Woliński, Witold Kula, adwokaci Kazimierz Ostrowski i Adam Dobrowolski, a także późniejszy autor “Rozmów z katem” - Kazimierz Moczarski. W naszej komórce konspiracyjnej zajmowaliśmy się głównie ustaleniem codziennych faktów i alarmowaniem władz polskich w Londynie. Robiliśmy to wspólnie z siatką tysięcy ludzi “na dole”, dzięki którym wiedzieliśmy, co się dzieje w każdym powiecie. Nieraz spotykaliśmy się w prywatnym mieszkaniu i mieliśmy tylko takie wiadomości: na Pawiaku rozstrzelano dziś sto osób, a z Krakowa znów wywieziono grupę ludzi.

Karski - jeden z nas

Czy dotknęła nas niepamięć, jak pisze Gross? Nie. Przykład ludzi BIP-u jest tu najbardziej niefortunny z możliwych. Czy można podejrzewać takich ludzi jak Witold Kula czy Stanisław Herbst o brak wystarczającej świadomości nieszczęścia? Aleksander Kamiński, wielki pedagog i działacz harcerski, człowiek szanowany i czczony w środowisku żydowskim, którego sylwetka znajduje się w Encyklopedii Holokaustu, redagował “Biuletyn Informacyjny”, organ AK. Henryk Woliński i Stanisław Herbst dokumentowali sytuację Żydów w specjalnym referacie utworzonym zimą 1941 r. w wydziale informacji KG AK. Antoni Szymanowski - możliwie jak najszybciej po tragicznych wydarzeniach z lata 1942 r. - wydał broszurę “Likwidacja getta warszawskiego”. Codziennie narażaliśmy życie, by informować sojuszników o wydarzeniach w kraju.

Niektórzy pracownicy BIP-u mieli współmałżonków-Żydów albo sami nie byli Aryjczykami z punktu widzenia rasistowskich ustaw norymberskich. Czy można przypuszczać, że i oni byli nieczuli na los ludzi znajdujących się w podobnej sytuacji?

Gross pozytywnie kwalifikuje jedynie Jana Karskiego. To miłe, ale Karski nie był ani lepszy, ani gorszy od nas. Poznałem go w 1942 r. przed jego wyjazdem z misją na Zachód. Tak jak ja pracował z Zofią Kossak i uważał ją za wyjątkowo wartościowego człowieka. Po jego wyjeździe założyliśmy Radę Pomocy Żydom “Żegota” - gdyby został w kraju, na pewno pracowałby razem z nami. Gdy po latach spotkaliśmy się po wojnie, powiedział: “No tak, mnie było łatwo, bo tylko o tym mówiłem, a wyście to robili”.

Na tym polega różnica między punktem widzenia człowieka, który był daleko, ale miał wiedzę i żył w tamtych czasach, a osobą urodzoną później, która - być może słusznie - rozważa, czy można było zrobić więcej.

Nieczuli czy bezradni?

Przychyłam się zarówno do refleksji Pawła Machcewicza i Rafała Wnuka, rozumiejących, że wszelkie ryczałtowe, uogólniające wnioski o postawie polskiej inteligencji są wątpliwej wartości, jak i do toku myślenia prof. Jerzego Jedlickiego, który przypomniał, że „Bartoszewski i Zofia Lewinówna, redaktorzy tomu »Ten jest z ojczyzny mojej«, zdawali sobie sprawę z tego, że pełna poświęcenia, męstwa i współczucia pomoc nie wyczerpuje tematu postaw wobec Zagłady Żydów”. Tak było i dlatego daliśmy podtytuł „Polacy z pomocą Żydom”, a nie „Stosunki polsko-żydowskie”. Wybraliśmy temat, który był możliwy do zrobienia i ważny dlatego, że żyli jeszcze ludzie, którzy ratowali i byli ratowani. To jednak nieprawda, że książka pomija ciemne sprawy; mówi wszak o ludziach, którzy uciekali, zmieniali papiery, ukrywali się, byli ofiarą szantażu, donosu.

Zofia Lewinówna, w rozumieniu hitlerowców Żydówka, ukrywała się z matką w Hrubieszowie, gdzie powszechnie było wiadomo, że to rodzina polskiego oficera zamordowanego przez Niemców. Mało kto wiedział, że są też ukrywającymi się Żydówkami. To jeden z setek przykładów pokazujących, jak różna była świadomość społeczna.

Wielokrotnie twierdziłem, że ludzi żyjących w czasie wojny dotyczy w jakimś stopniu grzech zaniechania, który mógł brać się ze strachu czy braku samokrytycyzmu. Jednak, choć przejawy zaniechania sprzyjały obiektywnie złu, nie były przecież równoznaczne z czynną zbrodnią. Co mogli jeszcze zrobić np. wspomniani pracownicy BIP-u? Jak wiele od nich zależało? To nie oni decydowali, ale alianci. Gdy Karski rozmawiał z Rooseveltem, żyło jeszcze pół miliona Żydów węgierskich i setki tysięcy Żydów polskich, m.in. z getta łódzkiego, którzy zginęli w lecie 1944 r.

Pytania Grossa można zadawać sobie dziś, gdy wiadomo, jaka była nasza ówczesna wiedza, co meldowaliśmy, jakie były reakcje w Londynie, Waszyngtonie i dłaczego. Ale nie można z tych rozważań wyciągać daleko idących wniosków na temat kondycji polskiej inteligencji, np. lekceważenia prostych ludzi.

Gross jest co prawda socjologiem, a nie historykiem czy polonistą, ale nawet jako nie-historyk i nie-polonista wie np. o młodopolskiej chłopomanii, o „Weselu”, Rydlach, Tetmajerach, środowisku, dla którego prosty lud był przedmiotem admiracji, choć być może jednostronnej i przesadnej. Powinien też znać historię działalności Towarzystwa Szkoły Ludowej, ruchu ludowego - „Wyzwolenia” i „Piasta”.

Inteligencja polska nie uważała chłopów za ciemną masę, choć naturalnie zaborcy prowadzili swoją politykę narodowościową, wygrywając w zaborach rosyjskim i austriackim grupy społeczne przeciwko sobie. Słowo „pogrom” pochodzi z języka rosyjskiego i nie przypadkiem pierwsze grupy, które udały się do Palestyny realizować syjonistyczną utopię Theodora Herzla, przyjeżdżały z

terenów pogromów na zachodnich obrzeżach Cesarstwa Rosyjskiego: z etnicznej Ukrainy i Białorusi. Nieprzypadkowo też z zaboru rosyjskiego pochodziło wielu ludzi znaczących dla światowego żydostwa i państwa Izrael.

Więć poddana takiej indoktrynacji była inna od tej, którą "podnoszono" ku poziomowi inteligencji miejskiej przez małżeństwa i relacje rodzinne. Trudno też powiedzieć o ludziach zakorzenionych w tradycji, jak choćby Podhalanie opisywani przez ks. Tischnera czy Papieża, że to ciemni chłopi. Często nie było problemów etnicznych, ale np. problem polsko-pruski jako pozostałość ponad stuletniej okupacji niemieckiej. Na Wschodzie mieszały się problemy białoruskie, ukraińskie, litewskie, żydowskie.

Wszystko to - o czym socjolog wie - nie przekłada się na jednoznaczną ocenę inteligencji.

Dalekie skutki sprawy Dreyfusa

Wydaje się, że dyskusja wywołana przez Grossa - którego znam i nie przypisuję mu żadnych niskich ani ukrytych pobudek - jest poszukiwaniem sensacyjnej wersji wydarzeń, posuniętym trochę za daleko. Jeżeli uznamy, że nasze elity inteligentkie były ślepe i głuche, możemy zapytać: czy tylko polskie? Węgierskie, rumuńskie, słowackie, czeskie, francuskie też?

Rozważania można zakończyć dość paradoksalną refleksją. W ostatnich tygodniach Europę obiegają doniesienia prasowe o ostrych wypowiedziach premiera Izraela Ariela Szarona pod adresem Francji i Francuzów. Ukazały się już odpowiedzi polityków francuskich, przedstawicieli państwa, intelektualistów. Młodzi ludzie zapewne o tym nie pamiętają, ale uczestnicy tej dyskusji wiedzą, w jakich okolicznościach zrodziła się myśl syjonistyczna i idea stworzenia państwa Izrael (w którym też dochodzi do różnych zjawisk, podlegających krytyce jako metody działania normalnego państwa). Przyczyną był proces Alfreda Dreyfusa, wdeptanego w ziemię francuskiego oficera żydowskiego pochodzenia [kapitan sztabu generalnego aresztowany w 1894 r. pod fałszywym zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec; skazany w 1895 r. na dożywotnie zesłanie, po kilku latach ulaskawiony i zrehabilitowany - przyp. red]. Theodor Herzl, młody wiedeński dziennikarz sprawozdający ten proces, doszedł do wniosku, że we Francji nie ma przyszłości dla Żydów i z rozmachem sformułował doktrynę syjonizmu oraz potrzebę stworzenia państwa Izrael. Wyartykułował ją pod wpływem obserwacji zachowania opinii publicznej, struktury państwowej, sędziowskiej i wojskowej Francji. Sto kilka lat później do podobnego przeświadczenia doszedł Szaron.

Czy z tego powodu socjolog francuski miałby napisać artykuł, w którym od czci i wiary odsądziłby inteligencję francuską z lat II wojny? Czy mimo rządu w Vichy, mimo śmierci matki i siostry Jean-Marie Lustigera, arcybiskupa Paryża, w Oświęcimiu (aresztowali je i wydali Niemcom Francuzi), byłby zasadny tekst francuskiego profesora osądzającego elity francuskiego ruchu oporu jako bezduszne, ślepe, nieskuteczne? Rezygnuję z odpowiedzi na to pytanie.

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

Pamiętajmy jednak, że tylko Polska reprezentowana jest sześcioma tysiącami nazwisk w “ogrodzie Sprawiedliwych” Yad Vashem, na Górze Pamięci w Jerozolimie. To oczywiście nie usprawiedliwia w żadnej mierze sprawców czy współsprawców czynów niegodnych. Ale może powstrzymać od formułowania sądów czarno-białych, pogrążających czytelnika w beznadzi.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI (ur. 1922) jest historykiem i pisarzem, autorem ponad 800 publikacji o historii najnowszej PRL. Współzakładał Radę Pomocy Żydom, walczył w Powstaniu Warszawskim. Więzień polityczny PRL-u. Wykładowca m.in. uniwersytetów w Lublinie i Monachium. Jako jeden z pierwszych Polaków, w 1966 r., otrzymał tytuł “Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”; w 2001 r. odznaczono go Wielkim Krzyżem Zasługi RFN za pracę na rzecz pojednania między Niemcami, Polakami i Żydami. Członek zespołu “TP”.

JAN WOLEŃSKI

TP, nr , 2004.09.12

WIEDZA JAKO POŻYTEK ZBIOROWY

Nie apeluję, by historycy czy socjologowie rezygnowali z prób wyjaśnienia ciemnych kart historii Polski. Tyle że niepotrzebne są poszukiwania wyjątkowości Polaków w myśl schematu, "bo to było inne niż wszystko", na dodatek w języku "larum pod niebiosą". Dopóki nie popatrzymy na własną historię jako na zasadniczo typowy przypadek w dziejach powszechnych, zawsze będzie ona mitologizowana.

W sprawie Jedwabnego od początku przeplatały się dwa wątki: pierwszy, co się zdarzyło; drugi: jak to było i jest przyjmowane. Można uznać, że opracowanie "Wokół Jedwabnego", podsumowujące śledztwo IPN, wyczerpało faktograficzny aspekt sprawy. Wiemy, co się wydarzyło, nie tylko zresztą w Jedwabnem (dla uproszczenia będę traktował tę nazwę jako ogólną).

Gross odniósł się do wątku drugiego, zaś tytuł szkicu można interpretować jako opis stanu wiedzy o Jedwabnem w świadomości zbiorowej Polaków. Przypuszczam, że w intencji autora niepamięć zbiorowa nie polega na braku wiedzy czy zapomnieniu. Jest to raczej pamięć fałszywa lub może kierunkowe zapomnienie (podobne do zaniechania jako kierunkowego braku działania), coś nagannego, niespełnienie pewnego obowiązku epistemologicznego.

Będę polemizował z niektórymi tezami Grossa, Jerzego Jedlickiego i Hanny Świdy-Ziemby. Wszelako zgadzam się z dwoma pierwszymi, że wiedza o Jedwabnem to nie tylko kwestia odtworzenia faktów, ale i nasz stosunek do nich widoczny w recepcji oraz interpretacjach. Ich różnaitość świadczy bardziej o nas niż o przeszłości; o tym właśnie, co czynimy z wiedzą o Jedwabnem. Być może jest ona czasem źródłem cierpienia, jak chce Jedlicki. Jestem jednak optymistą epistemologicznym i uważam, że wiedza może, powinna i jest źródłem pożytku.

To nie był cel strategiczny

Trzeba odróżniać dwie płaszczyzny dyskusji o Jedwabnem: profesjonalną, toczoną przez historyków, socjologów, prawników itd. i ogólnopubliczną, w której, mniej lub bardziej czynnie, uczestniczą rzesze ludzi. Obie się przeplatają, druga nie byłaby możliwa bez pierwszej, ale jednak są różne: kto inny bierze w nich udział, odmienne są powinności jej uczestników. Zajmę się głównie płaszczyzną dyskusji ogólnej.

Upublicznienie tego, co zdarzyło się w Jedwabnem było dla wielu Polaków szokiem. Nic dziwnego, że wywołało rozmaite reakcje, także obronne. Jedni przyjęli postawę Obrońców Dobrego Imienia Miasta i Narodu, jak to ironicznie, ale trafnie ujął Jedlicki, mając na myśli tych, którzy bronili Honoru bezkompromisowo (czyli wbrew wiedzy, a wedle życzeń). Ale byli i tacy, którzy

chcieli zrozumieć, lecz trudno było im się a priori pogodzić, bo przecież to niemożliwe, by Polacy mogli coś takiego uczynić i w takiej skali. Niestety, rozkład postaw nie jest dokładnie znany. W szczególności nie wiemy, jaki procent Polaków zaakceptował wersję wydarzeń ustaloną w wyniku śledztwa IPN. Coś jednak wiadomo, np. że dzięki publicznej dyskusji o Jedwabnem antysemityzm w Polsce zmalał o kilka punktów, a nie wzrósł, jak się niektórzy obawiali.

Gross pyta o powód milczenia w sprawie Jedwabnego zaraz po lipcu 1941 r. Dlaczego tak stało się, skoro przywódcy Polski Podziemnej w kraju otrzymali informacje i przekazywali je do Londynu? Dlaczego nie było “larum pod niebiosą, nie rwali sobie włosów z głowy (...) na wieść o tych potwornych zbrodniach”? I odpowiada, że stało się tak z powodu postfeudalnej struktury i świadomości społeczeństwa polskiego, w ramach której problem wymordowania Żydów przez polski lud był zjawiskiem marginalnym, nie wartym szerszego zainteresowania.

W odpowiedzi Paweł Machcewicz i Rafał Wnuk podnoszą, że priorytetem były wtedy wojskowe problemy logistyczne, a nie wieści o lokalnych perturbacjach; na dodatek istniały rozmaite powody polityczne, by sprawy nie rozgłaszać. Historycy IPN mają rację. Ich teza koresponduje z tym, że na aliantach nie czyniły specjalnego wrażenia wiadomości o eksterminacji Żydów na skalę milionową. Jan Karski, komentując po latach spotkanie z prezydentem Rooseveltem, wyraźnie stwierdził, że pomoc Żydom nie znajdowała się na czele listy alianckich celów strategicznych. Zachowując wszelkie proporcje, nie bardzo wiadomo, dlaczego w kontekście sytuacji polskiej w 1941 r. niezbyt precyzyjne opisanie zabicia kilku tysięcy Żydów przez Polaków miało stanowić jakiś szczególny kazus wart publicznego dyskutowania. Stwierdzenie tego nie jest usprawiedliwieniem, a tylko poszukiwaniem wyjaśnienia najprostszego. Zakłada ono, do czego będę jeszcze wracał, że ówczesne zachowanie się Polaków nie było wyjątkowe.

Nie jesteśmy inni niż wszyscy

Jak to było z ową postfeudalną świadomością polskich elit? Zakładając, że była takowa w skali masowej, nie można twierdzić, że posiadali ją konkretni ludzie, a nawet jeśli tak, nie wynika z tego, że Jedwabne traktowali jako rozrachunek między “Chamami” i “Żydami”. Idąc tym tropem można by przyjąć, że obojętność świata na Holokaust też była rezultatem świadomości postfeudalnej lub podobnej, a wiadomo, że u jej podstaw tkwiły konkretne przyczyny, np. obawa Brytyjczyków, że emigracja żydowska do Palestyny naruszy tamtejszą równowagę etniczną. Rozumowanie Grossa nie tłumaczy też, dlaczego niektórzy (np. Zofia Kossak-Szczucka) byli w stanie przelamać postfeudalne, nawet antysemickie, uprzedzenia i organizować akcję pomocy dla Żydów. Nie ma powodu sądzić, że ich postawa była reakcją na eksterminację, aczkolwiek wcześniej tolerowali zbrodnie lokalne. Gross rozszerza nadto swoje wyjaśnienie poza czas wojny, ale nie jest jasne, do jakiego momentu. Nawet jeśli historyczne milczenie o Jedwabnem panowało prawie do końca XX w., nie musiały go przez cały

czas wywoływać te same przyczyny. Niezależnie od tego, co mamy począć z postfeudalizmem Polaków czasów wojny, na pewno nie stosuje się on do społeczeństwa polskiego doby obecnej. Nie kwestionuję ani stereotypów ani ich ról, a tylko apeluję, by nie czynić z nich interpretacyjnego wytrycha do wszystkiego.

Jedlicki nie uważa wyjaśnienia Grossa za adekwatne i nieco zmienia jego treść. Powiada bowiem, że stereotyp Żyda-wiecznego intryganta umożliwiał marginalizowanie doniesień, że jacyś Polacy gdzieś wymordowali jakichś Żydów. Nie było powodu, by zajmować się tym na szerszą skalę i to w sytuacji, gdy zdarzenie było nieprzyjemne. Dodatkowym elementem stała się amnezja, pomagająca bronić się przed wiedzą o Jedwabnem i zapomnieć, skoro dostarczała cierpień. Społeczne amnezje nie są jednak zjawiskami samoistnymi, a efektem czegoś. Jeśli zapomnienie o Jedwabnem było rezultatem rzeczzonego stereotypu, trzeba przyjąć, że obraz Żyda-intryganta leży u podstaw recepcji i interpretacji mordu na Żydach. A jeśli cała sprawa się w tym nie wyczerpuje, to co jeszcze miało znaczenie? Jedlicki słusznie wskazuje, że upublicznienie problemu zmieniło sytuację. Ale dlaczego? Czyżby negatywny stereotyp Żyda zniknął? Chyba nie, bo - i tutaj trzeba przyznać rację Jedlickiemu - nadal decyduje o tym, jak Jedwabne postrzega spora część Polaków. Ale mimo to wywód autora "Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują" jest zbyt ogólnikowy, a ponadto niezbyt spójny. Nie zawsze też wiadomo, czy dotyczy profesjonalistów, czy zwykłych ludzi.

Chciałbym też skomentować jedną tezę Hanny Świdry-Ziemby. Powiada ona, że wiadomość o Jedwabnem zmusiłaby do publicznej debaty z powodu dysonansu poznawczego, bo przecież "ten straszny mord został popełniony przez Polaków. I dlatego był inny niż wszystkie (...)". Mamy tutaj do czynienia z nierzeczywistym okresem warunkowym - o tym, co zdarzyłoby się, gdyby stosowana wiedza była dostępna. Uroda kontrfaktycznych implikacji ma to do siebie, że są niesprawdzalne. Nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieć, jak wyglądałyby dyskusje Polaków w latach 1941-45 i czy w ogóle miałyby miejsce, gdyby ujawniono na większą skalę, że polscy mieszkańcy Jedwabnego wymordowali żydowskich sąsiadów. Nie widzę też żadnego powodu wyróżniania faktu, że mord popełnili Polacy "i dlatego był inny niż wszystkie". Nie był: okazało się tylko, że także Polacy, jak każda inna nacja, mają na koncie okropności wobec współobywateli.

Wiedza źródłem prawdziwej skruchy

Nie apeluję, by historycy czy socjologowie rezygnowali z kolejnych prób wyjaśnienia ciemnych kart historii Polski. I tak zresztą tego nie robią. Wszelako zwykli ludzie są skazani na korzystanie z dyskusji czy nawet ich strzępów toczonych przez specjalistów, a więc budują sobie obrazy przeszłości z danych fragmentarycznych, klejonych w całość wedle potrzeb, oczekiwań, resentymentów, stereotypów, obaw itd. Mogę się mylić, ale nie sądzę, by omówione objaśnienia Grossa czy Jedlickiego były spoiwem skutecznym. A już najmniej potrzebne są poszukiwania wyjątkowości Polaków w myśl schematu "bo to było

inne niż wszystko”, na dodatek w języku “larum pod niebiosą”. Dopóki nie popatrzymy na własną historię jak na typowy przypadek w dziejach powszechnych, zawsze będzie ona mitologizowana.

Kieruję się tutaj doświadczeniem cyklu “Polacy i Żydzi od nowa”, prowadzonego przeze mnie w krakowskim Centrum Kultury Żydowskiej w latach 2001-03. Zapraszałem specjalistów, m.in. Jerzego Jedlickiego, ale spotkania były przeznaczone dla zwykłych ludzi. Było to wydarzenie lokalne, nie mogę twierdzić, że reprezentatywne. Ale mimo że pokazało znaczne różnice między specjalistami, nawet niezbyt zróżnicowanymi politycznie, dyskusje zrazu burzliwe, stopniowo stawały się coraz spokojniejsze i rzeczowe. To znak, że zwykli ludzie cenią racje i potrafią je uznać.

Dlatego nie sędzę, jak to czyni Jedlicki, że “myślący czytelnicy [mieli się] coraz gorzej”. O ile możliwe, wiedza winna być bez luk i niedomówień. Jeśli jest inaczej, zaraz wypełniają ją obrońcy Dobrego Imienia Miasta i Narodu. Rozumiem tych, którzy uznają, że polemika z obrońcami jest poniżej godności, ale twierdzę, że nie jest to postawa rozsądna. Można przyjąć, że fantazje na temat faktów nie mają większego znaczenia z profesjonalnego punktu widzenia. Funkcjonują jednak w warstwie recepcyjno-interpretacyjnej. Wystarczy przejrzeć dyskusje internetowe po artykułach niniejszego cyklu, często zawierające głosy pasożytujące właśnie na niedopowiedzeniach. To prawda, że większość ich autorów jest niereformowalna, ale podobne pytania zadają ci, którzy chcą po prostu wiedzieć. A tych już ignorować nie można, bo zasługują na szacunek i pomoc.

To, jak dany problem jest postrzegany w zbiorowości, zależy również od postawy czynników oficjalnych. Niestety, w Polsce zapanowała konwencja przepaszania w związku z trudnymi kwestiami historycznymi związanymi ze stosunkami polsko-innymi (niemieckimi, rosyjskimi, ukraińskimi, żydowskimi). Prezydent przeprosił Żydów za mord w Jedwabnem, a Episkopat, za to samo, Pana Boga. Rzecz nie w tym, by nie wyrażać skruchy za zbrodnie popełnione przez przodków, jednak, tak naprawdę, przeprosić można za spóźnienie się, nadeptanie na nogę lub powiedzenie brzydkiego słowa. Przeprosiny za zbrodnie są jej bagatelizowaniem, niezależnie do kogo są adresowane, nie mówiąc już o tym, że postawa biskupów polskich okazała się wybiegiem, skoro wymówili się od udziału w uroczystościach rocznicowych (niektórzy planowanymi w tym czasie urlopami). Prawdziwa skrucha wobec wydarzeń w Jedwabnem polega na uczynieniu właściwego użytku z wiedzy posiadanej na ten temat, tj. uznaniu winy za to, co się stało, bo została ona wystarczająco uzasadniona. I to jest może główny pożytek z wiedzy płynący.

Prof. JAN WOLEŃSKI (ur. 1940) wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zajmuje się filozofią prawa, epistemologią, logiką i historią filozofii. Ostatnio wydał m.in. trzy tomy “Epistemologii” (Aureus); w przygotowaniu “Granice niewiary” (WL).

MARCIN KULA

TP, nr 39, 2004.09.26

AMNEZJA - CHOROBA TYLKO CZĘŚCIOWO ZAWINIONA

Pamięci Powstania Warszawskiego za komunizmu nie kultywowano, ale była ona podtrzymywana chociażby w ramach przekazu rodzinnego. Pamięci o powstaniu w getcie nie miał kto przekazywać. Mało tego. Często uratowani, z powodu przeżyć, chcieli zatrzeć własne żydostwo.

To, że długotrwała amnezja w kwestii losów Żydów jako grupy społeczeństwa polskiego objęła znaczną część tegoż społeczeństwa, wydaje się oczywiste. Mówiąc dokładniej: po społeczności żydowskiej pozostała pamięć zsymbolizowana, u nielicznej części społeczeństwa pozytywna, u liczniejszej (prawdopodobnie liczniejszej) negatywna. Podstawowa część społeczeństwa polskiego w miastach i miasteczkach najpewniej po prostu przez lata nie myślała o niegdysiejszej obecności Żydów tamże oraz o czasem dobrych, czasem złych, a czasem nawet bardzo złych stosunkach poprzednich pokoleń z Żydami. Nawet w encyklopedycznych opracowaniach dziejów poszczególnych miast zagadnienia Żydów - jak zresztą innych mniejszości - pojawiają się rzadko. Nie wynika to ze złej woli autorów - raczej z tego, że mówiąc o dziejach poszczególnych ośrodków nie myśli się o Żydach w kategorii grupy, która tworzyła część ich dziejów.

Przyczyny stwierdzanego przeze mnie (w jakim stopniu prawdziwie?) stanu rzeczy są wielorakie. Nie muszą mieć związku jedynie ze sprawą żydowską. W końcu historyczna amnezja społeczeństw zdarza się nie tylko w odniesieniu do tego zagadnienia. Ograniczmy jednak zakres refleksji.

Źródła nie-pamięci

Pierwszą przyczyną rozważanej amnezji jest dystans, dzielący społeczności żydowską i chrześcijańską w Polsce w okresie międzywojennym. Nie miejsce tu, by dyskutować jego przyczyny i wkład każdej z grup w budowanie przepaści. Pozostaje faktem, że dystans istniał mimo codziennego mijania się ludzi na ulicach oraz mimo wzajemnego wchodzenia w stosunki wymiany dóbr i usług. Jedni i drudzy wręcz niewiele o sobie wiedzieli - poza pewną liczbą symboli oraz mitów. Nawet wśród inteligencji twórczej stosunki chrześcijańsko-żydowskie nie były tak bliskie, jak się to dziś wydaje. Zmarły w 1988 r. prof. Marian Małowist, człowiek żydowskiego pochodzenia, jeszcze dwa lata przed śmiercią wspominał, jak to na jego obronę doktorską w roku 1934 nie przyszedł żaden kolega nie będący Żydem. Musiał to dobrze zapamiętać, skoro mówił o tym po tylu latach.

Otóż - wracając do zasadniczej kwestii - warto zauważyć, iż ani nie wspomina się żywo, ani nie oplakuje się ludzi, którzy nie są bliscy, ani tym bardziej takich, których się nawet nie zna. Gdyby dzisiaj zniknęli z Polski Cyganie lub - powiedzmy - Wietnamczycy, nikt by o nich nie pamiętał (ci pierwsi może pozostałoby w legendach ludowych i przesądach jako sylwetki barwne, choć często mało cenione). Gdyby Cyganie czy Wietnamczycy zniknęli w jakiejś tragedii (odpukać w niemalowane drewno!), to najpewniej raczej zapamiętano by tragedię samą niż ofiary. Gdyby we Francji zniknęli dziś muzułmanie, też ich wspomnienie nie weszłoby do dziedzictwa narodowej przeszłości, a więc i do podręczników francuskiej historii. Wielu Francuzów raczej pomyślałoby "kłopot z głową!". Negatywne stereotypy sprzyjałyby takiej postawie - jak sprzyjały, co nie najmniej ważne, w wypadku myślenia wielu chrześcijan ex post o Żydach w Polsce. Trudno kultywować pamięć o ludziach, których ocenia się negatywnie - chyba że jest to właśnie pamięć negatywna. Owe zastarzałe, negatywne stereotypy są drugą przyczyną amnezji.

Oczywiście przykład Cyganów, a tym bardziej Wietnamczyków w Polsce i muzułmanów we Francji, jest demagogicznie przesadzony. Społeczność żydowska w Polsce była mimo wszystko znacznie bardziej zintegrowana i dłużej obecna niż Cyganie, Wietnamczycy czy francuscy muzułmanie - ale przez swą przesadę te przykłady wyostwiają obraz.

Kolejnym powodem amnezji jest ta okoliczność, że polski naród kształtował się bez własnego państwa. W konsekwencji ukształtował się z mocnym akcentem na narodowość rozumianą w kategoriach etnicznych (założmy, że wiemy, co to znaczy!). Państwo odrodziło się jako państwo narodu polskiego - nawet jeśli obejmowało także wiele innych grup etnicznych. Ludzie o innej narodowości lub (i) innej religii byli często traktowani jako swego rodzaju dodatek do życia wspólnoty objętej organizacją państwową, a nie jako jej część. Jest prawdą, że oni sami też nieraz tak siebie traktowali. W ogóle okres międzywojenny był dziedzicem XIX-wiecznego myślenia narodowego - przy pozostawieniu myślenia obywatelskiego na drugim planie. W konsekwencji do dziś, ucząc historii, najczęściej uczymy historii Polaków, a nie historii Polski.

Trzecią przyczyną amnezji był fakt, że społeczność żydowska nie przeżyła. Zabrakło więc podstawowego nośnika pamięci, jaką jest sama społeczność będąca potencjalnym przedmiotem wspomnień i narracji. Pamięci Powstania Warszawskiego za komunizmu nie kultywowano bądź kultywowano ulomnie - ale była ona podtrzymywana chociażby w ramach przekazu rodzinnego. Pamięci o getcie i o powstaniu w getcie nie miał kto przekazywać. Mało tego. Często uratowani, z powodu przeżyć, chcieli zatrzeć własne żydostwo. Nieliczni, którzy przeżyli, wypierali z pamięci okropności, wręcz wypierali z pamięci własny punkt wyjścia.

W tym samym kierunku działało też wiele faktów z Polski międzywojennej, która, zwłaszcza u schyłku lat trzydziestych, była przykra dla Żydów. Przeciw kultywowaniu pamięci działały też realia komunizmu. Wbrew opinii o komunizmie jako "żydowskim wynalazku" oraz o Żydach w niezliczonych oczach mnożących się w komunistycznym aparacie terroru (z polskim szlachcicem

Dzierżyńskim na czele!), przyznawanie się do żydostwa za komunizmu wcale nie było rzeczą pociągającą. Wbrew wielu mitom bycie Żydem najczęściej w ogóle nie było i nie jest szczęściem. W latach powojennych wielu Żydów chciało oszczędzić dzieciom tej “plamy”. Największe szanse przeżycia i pozostania w Polsce mieli zresztą Żydzi zasymilowani, którzy nieraz od dawna usiłowali odejść od swojej społeczności, a nawet nie cenili jej (poza tymi, którzy, będąc zasymilowani, napotykali trudności poza nią i tym intensywniej powracali do żydostwa).

Czwartą przyczyną amnezji było swoiste współzawodnictwo w cierpieniu pomiędzy grupą polską i żydowską. Polacy, ukształtowani jako naród w ramach rozlicznych cierpień i cierpiący w dziejach najnowszych, często źle przyjmują wszelką konkurencję w tym zakresie (Żydzi zresztą też). Polacy są najczęściej dumni (zasadnie!) z wielokrotnie podejmowanej walki. Jako społeczność nieraz zakompleksiona na tle przeżyć (jak każdy naród o trudnej historii!), akcentują zarówno cierpienia, jak walkę. Stąd wynika pokazywanie siebie jako lepszych niż będący pod ręką w stereotypizowanych wspomnieniach Żydzi, którzy poszli na śmierć bez walki. W potocznej mentalności rzadko bierze się pod uwagę małe szanse podjęcia walki w konkretnych warunkach. Często pomniejsza się też tę walkę, która jednak została podjęta. Zamiast być dumnym, w ramach historii Polski, z powstania 1943 r. jako pierwszej otwartej walki w mieście przeciw okupantom, minimalizuje się nieraz wagę tego epizodu historycznego. Niektórzy historycy nie mówią o nim jako o “powstaniu”, lecz “samoobronie”. Podejrzewam, że świadomie bądź podświadomie stają na stanowisku, iż może być tylko jedno Powstanie w Warszawie. Taka postawa znalazła odbicie nawet w trakcie obchodów 60. rocznicy Powstania Warszawskiego. Było to tym przykrzejsze, że w rozważanym zakresie stanowiły one ogromny krok do przodu. O Żydach pamiętano, rabin modlił się wśród przedstawicieli poszczególnych wyznań na cmentarzu na Woli... ale nawet w trakcie tych uroczystości diabeł musiał widać machnąć ogonem. Podczas Apelu Poległych po wezwaniu obrońców getta: “Stańcie do apelu!” żołnierze nie odpowiedzieli słowami “Polegli na polu chwały” - przeznaczonymi dla poległych z bronią w rękę. Zawolali “Cześć ich pamięci”.

Szóstą przyczyną amnezji była, i nieraz wciąż jest, niechęć przyzwoitych ludzi do budzenia upiorów. Sprawa żydowska w Polsce była (by użyć czasu przeszłego!) tak drażliwa i nieraz wywoływała tak negatywne emocje, że wielu ludziom zdawało się, iż lepiej ją wyciszyć. Wielu wręcz bało się o niej mówić. Przecież przyzwoici ludzie nawet wolą nieraz o kimś powiedzieć, że jest “pochodzenia żydowskiego”, niż że jest Żydem.

Siódmą, i nie najmniej ważną, przyczyną amnezji to okoliczność, że w Polsce od 1945 r. było wiele spraw żywej dotykających społeczeństwo polskie niż dzieje odległej, już nieistniejącej społeczności i stosunków z nią. Zaraz po II wojnie różnorakie problemy kraju były tak wielkie, że przeogromnie absorbowały ludzi. Idea “żydokomuny” nastawiała wrogo do Żydów, co nie sprzyjało życzliwej pamięci. Przypominanie, w obliczu polskich strat wojennych, wypadków negatywnych zachowań wobec Żydów było i wstydlive, i, co chyba moc-

niej działało, sprawiało wrażenie rozważania spraw z innego świata. Wówczas i później komunizm dostarczał dostatecznie dużo materiału do myślenia o sprawach bezpośrednio bliskich ludziom. Z kolei jego elita, wbrew mitom, wcale nie spieszyła się do kultywowania pamięci o Żydach. Niezbyt chciała nawet rozgrzebywania niedobrych spraw z zakresu stosunków między obiema grupami w Polsce.

Last but not least, warto pamiętać banalną prawdę, że przez kilkadziesiąt lat społeczeństwo polskie było pozbawione swobody wypowiedzi. Być może w innym wypadku pamięć sprawy żydowskiej ułożyłaby się inaczej. Za komunizmu zatarła się pamięć wielu, i to bardzo różnych, dobrych i złych spraw - nie tylko dziejów Żydów. Charakterystyczne, że po upadku tego ustroju wróciła pamięć różnorodnych faktów z historii: po 1989 r. małe ośrodki zaczęły intensywniej kultywować własną tradycję, oraz że w niejednym, większym lub mniejszym przypomniano sobie właśnie o obecności Żydów. Powrót pamięci wyraził się w rewaloryzacji dawnych ulic żydowskich, tworzeniu ośrodków pamięci, fundowaniu tablic pamiątkowych, pisaniu przez młodzież prac na konkurs "Historia i kultura Żydów polskich", również w publikacjach. Skoro tak, to w wyjaśnianiu przyczyn amnezji wypada odejść, przynajmniej częściowo, od samej sprawy stosunków międzygrupowych.

Jak nie-pamiętają inni

Powyższe uwagi zostały sformułowane w ramach rozumowania o najnowszych dziejach Polski. Tymczasem przy głębszym podejściu do zagadnienia należałoby spojrzeć na sprawę porównawczo - zarówno przez pryzmat dziejów sprawy żydowskiej i pamięci o Żydach w innych krajach, jak przez pryzmat innych mniejszości i pamięci o nich, zarówno w Polsce, jak w innych krajach. Wbrew mitom ani sprawa żydowska per se, ani sprawa żydowska w Polsce nie są aż tak specyficzne, jak to się nieraz zdaje. W końcu o dziejach Ukraińców też nikt nie pamięta się w Polsce - a jeśli, to najczęściej źle.

Gdy wskazuje się - jak była mowa - na wagę przełożenia idei narodowej nad ideę społeczeństwa obywatelskiego dla rozważanych spraw w Polsce, warto jednak rozejrzeć się trochę dookoła. W ojczyźnie nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego, czyli we Francji, miejscowa policja nie zawahała się wydać hitlerowcom Żydów - obywateli francuskich. Dopiero niedawno upamiętniono we Francji obóz w Drancy. Także dopiero od niedawna wywieszają się na szkołach francuskich tabliczki z nazwiskami żydowskich uczniów, którzy zostali zamordowani przez hitlerowców. W drugiej ojczyźnie społeczeństwa obywatelskiego, czyli w Stanach Zjednoczonych, po Pearl Harbor nie zawahano się zamknąć do obozów własnych obywateli pochodzenia japońskiego. Dopiero niedawno stanęła sprawa należnego im zadośćuczynienia.

Dopiero niedawno w zakres nauczania historii w Stanach Zjednoczonych weszła też przeszłość murzyńska lub indiańska - widziana nie tylko z punktu widzenia bohaterów oddziałów amerykańskich, przeganiających strasznych Indian. Dopiero niedawno przypomniano sobie o Aborygenach w Australii.

Dopiero od niedawna następuje rewizja historii w krajach andyjskich, gdzie sprawa była o tyle bardziej skomplikowana, że Indianin wspaniale prezentował się na pomnikach, natomiast znacznie gorzej w realnym życiu. Nawet w Meksyku, gdzie od dawna stano na stanowisku istnienia społeczeństwa metyskiego, dzieją się ciekawe rzeczy w zakresie realnego dostrzeżenia społeczności indiańskiej. Kanonizacja Juana Diego i słowa, które wówczas padły, były wysoce charakterystyczne dla nowych przemyśleń. Równie ciekawie jest w Brazylii, gdzie stosunki interetniczne są niezłe, a przecież wiele spraw, nawet z dalekiej przeszłości różnych grup etnicznych, dopiero teraz staje na porządku dziennym społecznej refleksji.

Na tym tle Polska nie jest wyjątkiem - ani na dobre, ani na złe. Jest zresztą w ogóle wyjątkiem (czy to na dobre, czy na złe!) w znacznie mniejszym stopniu, niż sobie wyobraża wielu ludzi.

Polska ma oczywiście swoje grzechy - w tym także nie dające się zaprzeczyć grzechy wobec Żydów. Tło porównawcze jest ważne nie po to, by owe grzechy przeciwważyć niecnymi postawami lub (i) czynami innych - jak w dowcipie o Amerykaninie, który zwiedzał ZSRR (Amerykanin zauważył, że radziecki pociąg się spóźnia. Na to przewodnik go zapytał: "A jak Wy traktujecie Waszych Murzynów?"). Tło porównawcze jest ważne dla lepszej analizy zjawisk.

Z własnymi grzechami trzeba się rozliczyć samemu. To, że inni ewentualnie też źle postępowali, jest małym usprawiedliwieniem. Mnie jednak, jako historyka, nie interesuje wina. W mojej roli zawodowej nie jestem ani prokuratorem, ani sędzią. Interesuje mnie zjawisko, które chciałbym zrozumieć. W tym celu warto zaś nie oceniać, lecz pytać o mechanizmy oraz patrzeć nie tylko na własne podwórko, lecz znacznie szerzej.

Marcin Kula jest historykiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego oraz Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego. Niedawno opublikował: "Uparta sprawa. Żydowska? Polska? Ludzka?" (Universitas).

DAWID WARSZAWSKI

TP, nr 41, 2004.10.10

WOJNY PAMIĘCI

W Polsce trwa wojna o pamięć. O pamięć, nie o historię: stawką w niej jest to, jak będą w potocznej świadomości funkcjonować znaczące wydarzenia z dziejów najnowszych, nie zaś to, jaki będzie ich obraz w historiografii.

Obszar czasowy jest dość ściśle określony: chodzi zasadniczo o ostatnich 60 lat minionego wieku, czyli o wydarzenia, w których uczestniczyli ludzie dziś jeszcze żyjący, ich rodzice i dziadkowie. Nie wszystkie wydarzenia jednak, lecz te tylko, których ocena wpływa wprost na kształt tożsamości dzisiejszych Polaków. Od których w znacznym stopniu zależy odpowiedź na pytanie, kim jesteśmy. Dwa fronty tej wojny są szczególnie aktywne: stosunek do PRL i ocena stosunków polsko-żydowskich.

Dialog głuchych

Bowiem jest to wojna, a nie debata czy spór. Argumenty merytoryczne, ustalenia badaczy, liczą się tu w stopniu niewielkim; decydują polityczne i moralne wnioski, jakie wynikają z przyjętych ocen. Innymi słowy, to nie fakty determinują oceny, lecz na odwrót: z przyjętych apriorycznie ocen wynika gotowość do uznania lub też pominięcia faktów. Dlatego właśnie polemiki w tej materii tak bardzo przypominają dialog głuchych. Nie dzieje się tak w Polsce po raz pierwszy. Nie jest to też wyłącznie polska specyfika: we Francji co jakiś czas odzywają spory o ocenę Rewolucji Francuskiej, Hiszpanię nadal dzieli stosunek do dziedzictwa Franco, a w Rosji debata o stalinizmie nie wyszła właściwie poza kręgi inteligencji. Zaś Polacy toczyli ze sobą w przeszłości wojny o ocenę dziewiętnastowiecznych powstań, okoliczności odzyskania niepodległości, rachunku Dwudziestolecia, przyczyn klęski wrześniowej i wybuchu Powstania Warszawskiego, by wymienić tylko najważniejsze z nich. Wszystkie te wojny, nawet ta ostatnia, są już dziś zakończone: co do faktów istnieje z grubsza historiograficzny consensus, w znacznym stopniu oparty nie na zwycięstwie którejś ze stron, lecz na wypracowaniu stanowiska uwzględniającego elementy obu. Efekt ten więcej zawdzięcza przemianie pokoleń, niż jakimś, dokonany tymczasem, odkryciom historycznym. Za lat kilkadziesiąt tak też zapewne będzie z obecnie toczonymi wojnami; dziś jednak głęboko dzielą one polskie społeczeństwo.

Na biografie

Skrajne stanowiska dają się zarysować w wojnie o PRL. Z jednej strony występują ci, którzy twierdzą, że była ona najlepszym państwem polskim, jakie w powojennych warunkach mogło istnieć, że rządząca PZPR wyrażała i w znacznym stopniu realizowała rzeczywiste interesy znacznej większości Polaków, wykorzystując każdą historyczną sposobność, by zmniejszyć zależność od sowieckiego sąsiada i naprawić własne, nieuchronne błędy. Gdy wreszcie zmienił się układ międzynarodowy, reformatorzy w PZPR zrobili wszystko, by przeprowadzić Polskę do pełnej suwerenności i demokracji, przekazując III RP ogromny dorobek, który ta w znacznym stopniu zmarnowała. Stanowisko przeciwne głosi, że PRL była jedynie formą rosyjskiej dominacji, a PZPR - w znacznym czy też decydującym stopniu podporządkowana zarazem interesom żydowskim - służyła jedynie Moskwie i własnym kastowym interesom. Gdy zabrakło moskiewskiego gwaranta jej władzy, PZPR wynegocjowała sobie ogromne przywileje, pozostawiając Polakom zdewastowany kraj.

Są to stanowiska w znacznym stopniu biograficzne: przyjęcie któregoś z nich częściej wynika z historii osobistej niż z chłodnej oceny historycznych danych. Nawet jeśli w uproszczeniu przyjąć, że wojna toczy się między PRL a III RP, to pozostaje ona sporem wewnątrzpolskim, nad czym zresztą obydwie strony zgodnie ubolewają.

Między narodami

W wojnie o stosunki polsko-żydowskie jest inaczej. Konflikt toczy się ponad granicami i dotyczy nie tylko stosunków między Polakami a Żydami. Przebiega między oboma narodami. Poza Polską - i Polonią - niewiele można znaleźć obrońców jednego z dwóch stanowisk skrajnych. Jedno z nich głosi, że Żydzi w Polsce byli siłą destrukcyjną, antypaństwową i antynarodową, toczącą stałą wojnę z polskością i katolicyzmem. W tej wizji Żydzi ponoszą winę za kapitalistyczny wyzysk w II oraz w III RP, a także za komunistyczną wywrotowość przez wojnę oraz za komunistyczną dyktaturę po niej. Według zwolenników tego stanowiska, Polska się jedynie przed Żydami broniła, nieskutecznie i z poszanowaniem zasad: walcząc przed wojną z żydowską próbą zawładnięcia jej gospodarką, a podczas wojny reagując w samoobronie na masową kolaborację Żydów z sowieckim okupantem. Jednocześnie broniła ich heroicznie - za cenę dziesiątków tysięcy ofiar - przed prześladowaniami okupanta niemieckiego, którego Żydzi wspierali zresztą w jego wojnie z Polską. Po wojnie Polska znów musiała się bronić przed narzuconą przez Moskwę sowiecką dyktaturą i walczyć o swe dobre imię z Żydami oraz ich sprzymierzeńcami, zniesławiającymi ją na całym świecie. W tej samoobronie zdarzały się, jak to na wojnie, godne ubolewania ekscesy, niktą one jednak w porównaniu z bezmiarem żydowskich win. Jedynym zaś sprzymierzeńcem Polski jest tu Kościół katolicki, i dlatego Żydzi zniesławiają go również, przypisując mu domniemany antysemityzm. Wśród wielu Żydów za granicą dominuje obraz przeciwstawny: wizerunek Polaków jako narodu z wrodzonym antysemityzmem, rozniecany dodatkowo przez strukturalnie antysemitcki Kościół. Dzieje Żydów w Polsce to jedynie

pasmo krzywd i prześladowań, których logiczną konsekwencją było zbudowanie w Polsce przez Niemców obozów zagłady. Polaków i Niemców łączyła bowiem wspólna nienawiść do Żydów, silniejsza nawet od dzielącego ich podczas wojny konfliktu: Polacy byli chętnymi współnikami Zagłady. Nieliczne przypadki, w których pojedynczy Polacy - wbrew swojemu narodowi - okazali Żydom trochę serca czy wręcz pomocy, potwierdzają jedynie tę regułę. Przed bezrozumną i nieusuwalną nienawiścią do Żydów w Polsce mogła ich bronić jedynie silna władza, sowiecka czy komunistyczna - ale tylko niejako przy okazji, tłumiąc polską aktywność w ogóle; gdy było to w jej interesie, sama zwracała się przeciwko Żydom. W tej sytuacji dyskryminacja, pogromy i masakry były normą, a zakończyły się dopiero wówczas, gdy w Polsce zabrakło Żydów do prześladowania. Jednak nawet pod ich nieobecność trwa w Polsce antysemityzm bez Żydów, zniesławiający ich pamięć, blokujący wszelkie próby nielicznej garstki szlachetnych Polaków, by choć w części zadośćuczynić za wyrządzone Żydom krzywdy.

Różne geografie

W wojnie o PRL strony mają wspólną tożsamość narodową, geografie i historię. Mieszkają do dziś razem, obok siebie, i mogą się odwołać do żywej pamięci dzielących je wydarzeń. Dlatego też dla większości po obu stronach linii frontu jasne jest, że oprócz zarysowanych powyżej postaw skrajnych, możliwe są także liczne stanowiska pośrednie; ich przyjęcie nie musi automatycznie uprawniać domniemania, że tak naprawdę popiera się stanowisko przeciwne. Co więcej, obie strony wiedzą, że "tamci" nie znikną i że to z nimi trzeba będzie dalej razem żyć w Polsce. To zaś oznacza, że jakiś kompromis w końcu jest możliwy.

Jeżeli więc w jakiejś konkretnej sprawie przyznamy drugiej stronie rację, nie musi to oznaczać jedynie naszej klęski, bowiem gest taki nakłania do wzajemności, a więc poszerza wolny od konfliktu obszar wspólny. Można potępiać PRL i podzielać głoszoną przez jej apologetów krytyczną ocenę III RP. Można PRL idealizować, a zarazem oddawać cześć tym, którzy z nią walczyli. Przypomnieć tu należy, że mowa jedynie o treściach obecnych w powszechnej świadomości, nie zaś o merytorycznych sporach historycznych, gdzie w sposób konieczny ocena i tak wynika z faktów, nie zaś na odwrót.

W polsko-żydowskiej wojnie o pamięć taka przestrzeń manewru jest drastycznie ograniczona. Strony nie mają już wspólnej geografii, a wątpliwe jest, czy kiedykolwiek miały wspólną historię, w tym sensie, w jakim mają ją strony wojny o PRL: 17 września, na przykład, obiektywnie znaczy coś innego dla większości Żydów niż dla większości Polaków. Co więcej, różnice w ocenach pokrywają się w znacznym stopniu z tożsamością etniczną głoszących je stron: choć dalece nie wszyscy Polacy podzielają pogląd pierwszy, a dalece nie wszyscy Żydzi - drugi, to trudno byłoby znaleźć Żyda, który ten pierwszy uznałby za swój, czy Polaka, który podpisałby się pod drugim. Geografia, już nie wspólna, nie wymusza kompromisu. Historia, która zapewne nigdy wspólna nie

była, nie stwarza dla niego przestrzeni. W tej sytuacji Polak, krytykujący pierwsze skrajne stanowisko, naraża się na zarzut, że, choćby i nie chciał, legitymizuje to drugie - i na odwrót, jeśli Żyd stanowisko drugie odrzuci. Większość tych, dla których oba stanowiska są równie fałszywe, doświadczyła tego na własnej skórze.

Między skrajnościami

Wreszcie ciężar zarzutów jest w obu przypadkach nieporównywalny. W wojnie o PRL strony zarzucają sobie nawzajem błędne polityczne decyzje, prywatnie, w najgorszym wypadku - narodową zdradę. Ale ze stanowiska pierwszego w wojnie polsko-żydowskiej wynika oskarżenie Żydów o żywiołową nienawiść do Polski i czarną niewdzięczność wobec niej, udział w jej zniewoleniu i w zbrodniach na setkach tysięcy obywateli. Stanowisko drugie zakłada zaś współdziałanie Polaków w przygotowaniu, realizacji, a następnie w zakłamaniu największego ludobójstwa w dziejach. Pierwsze przywołuje obraz żydowskiego ubeka torturującego polskich patriotów, drugie - polskiego chłopca wydającego Niemcom za wódkę ukrywających się Żydów.

Natężenie emocjonalne konfliktu jest tak wielkie, że trudno o racjonalne oceny. I choć nie ulega wątpliwości, że cierpienie żydowskie, w ogromnej większości przez Polaków niezawinione, jest po prostu historycznie znacznie cięższe niż cierpienie polskie, w którym Żydzi mieli udział nieporównywalnie mniejszy, to pamięć ludzka nie rządzi się taką analizą porównawczą.

Nie rządzi się - póki nie sięgnąć po opracowania źródłowe. Wśród poważnych historyków nie ma już zasadniczego sporu o fakty. Wiadomo, że II RP była krajem narastającego antysemityzmu - lecz nie było nań ani powszechnej zgody, ani też nie miał on ludobójczych intencji. Że Niemcy zbudowali obozy zagłady w Polsce, ponieważ tutaj było najwięcej Żydów do zabicia, nie zaś ze względu na polską opinię publiczną, Niemcom najzupełniej obojętną. Że szmalcowników było więcej niż ratujących - ale że wśród Sprawiedliwych Polacy stanowią grupę najliczniejszą. Że mord w Jedwabnem dokonali Polacy - ale Polska pod okupacją nie była Jedwabnem. Że Żydzi byli nadreprezentowani w UB, ale realizowali tam, jak i Polacy, komunistyczną, nie narodową politykę. Że organizacje żydowskie poparły narzuconą Polsce dyktaturę - ale że w obliczu powojennych pogromów nie mogły, choćby i chciały (ale czy by chciały?) zająć innego stanowiska. Że w Polsce antysemityzm do dziś jest żywy - ale że debata o Jedwabnem nie miała sobie równych w uczciwości i głębi w żadnym ze społeczeństw okupowanej przez Niemców Europy. Słowem, że oba skrajne stanowiska, tak w wypadku wojny o PRL, jak i w wypadku wojny o stosunki polsko-żydowskie, są po prostu fałszywe.

Mimo hipoteki

Tyle tylko, że - inaczej niż w odniesieniu do konfliktu o ocenę powojennego pięćdziesięciolecia - wiedza ta po prostu nie ma szans się upowszechnić. Po-

ważne opracowania historyczne mało kto czyta. Polacy i Żydzi żyją dziś rozłącznie, wiedzą o sobie niewiele i mają znacznie pilniejsze problemy niż reinterpretacja wyobrażeń, w większości przyjmowanych dotąd bezkrytycznie, potwierdzanych zarówno rodzinnym przekazem historii, jak i sporadycznie dochodzącymi z drugiej strony wieściami.

Mieszkający w Nowym Jorku czy Hajfie potomkowie polskich Żydów wiedzą o Polsce tyle, że w Warszawie przed wojną pradziadka bili korporanci, bo nie chciał usiąść w getcie ławkowym, potem jego kuzynkę szantażowali szmalcownicy, a jej narzeczony został zamordowany już po wojnie, gdy pojawił się na progu rodzinnego domu. Potem był marzec 68, ksiądz Jankowski i sfotografowane przez syna na wycieczce w Polsce szubienice z gwiazdą Dawida. Wystarczy.

Wystarczy też w rodzinnej historii Polaków pradziadek zadłużony u żydowskiego lichwiarza, żydowska brama tryumfalna wzniesiona 17 września, Jakub Berman w Biurze Politycznym, niemal półwiecze, które minęło między wzniesieniem pomników powstania w getcie i Powstania Warszawskiego, a także zagraniczne artykuły prasowe o polskich obozach zagłady. Nie zrozumiemy stopnia zapiekłości we wzajemnych stosunkach, jeśli nie przyjmujemy do wiadomości, że poglądy historycznie bezzasadne, a moralnie oburzające, mogą głosić też ludzie przyzwoici, reagujący jedynie na własną historyczną pamięć, i na równie bezzasadne głosy ze strony przeciwnej. Jest właściwie rzeczą zdumiewającą, że mimo takiej hipoteki w ogóle jest możliwa racjonalna rozmowa.

Spór "w imię Niebios"

A jest. Bardziej w Polsce niż poza jej granicami, gdyż dla potomków polskich Żydów za granicą polska historia jest jednak historią obcą. Ich własna wiąże się z krajem, który dla pierwszego pokolenia emigrantów był zrazu jedynie miejscem zamieszkania, lecz dla ich potomków jest już krajem ojczystym. Dla Żydów amerykańskich ruch praw obywatelskich, na przykład, a dla Izraelczyków - lecz i dla diaspory - wojna o niepodległość, są nieporównywalnie ważniejsze niż to, co się zdarzyło w Przytyku, Jedwabnem, Warszawie. Ale dla nas w Polsce, Polaków i Żydów, hierarchia jest jednak inna. Ta historia jest nasza. I dlatego będziemy się o nią spierać.

Będziemy się spierać - bo dziś jeszcze częściej toczymy wojnę. Ale w Polsce przynajmniej nie jest to już jedynie wojna polsko-żydowska. Jest to wojna o kształt polskiej pamięci. Ci w Polsce, którzy po przełomowej książce Jana Grossa doprowadzili do ujawnienia pełnej prawdy o Jedwabnem, niezbyt się interesowali tym, czy i co sobie Żydzi pomyślą. Im chodziło o to, by do hańby zbrodni - obciążającej jednostki, które ją popełniły i ich ideowych popleczników - nie dodawać hańby fałszu, która obciążałaby nas wszystkich. To im się udało, o czym pamiętajmy z wdzięcznością. Ci zaś, którzy polemizują z żydowską czarną legendą Polski, nie boją się, że w ten sposób mogą wzmocnić jej polski lustrzany odpowiednik. Wiedzą, że obie legendy karmią się sobą nawzajem, zaś walka z jedną jest walką z obiema.

ZAGŁADA PAMIĘĆ EDUKACJA BIULETYN NAUCZYCIELI

Nie chcę zajmować stanowiska w dyskusji nad tekstem Jana Grossa, interpretującym milczenie polskiego państwa podziemnego w sprawie jedwabieńskiej zbrodni. Nie czuję się w tej sprawie kompetentny: tu głos powinni zabierać świadkowie i badacze. Ale stwierdzam z ulgą, że jest to dyskusja, a nie wojna, że chodzi w niej o próbę racjonalnej interpretacji przeszłości, a nie o obronę tych lub tamtych okopów na linii frontu. Talmud uczy, że w sporze toczonym "w imię Niebios" - a więc z poszanowaniem dla prawdy i dla przeciwnika - oba stanowiska są "głosem Boga żywego", choćby jedno z nich okazało się błędne. I Polakom, i Żydom rozpaczliwie potrzeba takich właśnie sporów.

DAWID WARSZAWSKI (Konstanty Gebert) jest publicystą stale współpracującym z "Gazetą Wyborczą", redaktorem i wydawcą żydowskiego miesięcznika "Midrasz", autorem siedmiu książek dotyczących m.in. negocjacji przy Okrągłym Stole oraz wojen w b. Jugosławii. Ostatnio wydał: "54 komentarze do Tory" i "Dziesięć dni Europy".

WOJCIECH LIZAK

TP, nr , 2004.11.07

Z PERSPEKTYWY LUDU

Czy w tej dyskusji chodzi o "niepamięć zbiorową"? A może jest to raczej odzwierciedlenie stanu refleksji o najnowszej historii Polski? Konieczny po upadku komuny proces odkłamywania historii ma wszak pewną wadę genetyczną.

Sięgnęliśmy do wzorca, który sprawdził się w wieku XIX, kiedy "ku pokrzepieniu serc" heroizowano wszystko, co miało związek z Polską i polskością. Wzorzec ten najmocniej ujawniał się w środowiskach szlachecko-ziemiańskich oraz w wywodzącej się z nich inteligencji, więc ta właśnie grupa społeczna stała się synonimem Polski i Polaków. Reszty nie było. Choćby chłopów, którzy masowo współpracowali z wojskami rosyjskimi podczas Powstania Styczniowego, licząc zarówno na specjalny order nadawany im przez cara, jak możliwość ograbienia trupów powstańców.

Rodzaje demoralizacji

Gross zawsze będzie mi się kojarzył z Konradem Swinarskim. Reżyser wprowadził na scenę podczas Wielkiej Improwizacji lud, który nie tylko chrapał i jadł jajka na twardo, ale jeszcze zdarł z Konrada szynel i buty. Książka "Sąsiedzi" i artykuł "Niepamięć zbiorowa" musiały wywołać szok: okazało się, że są inni Polacy i inna historia Polski, że posługiwanie się pojęciami płynącymi wprost z XIX-wiecznej polskiej historiografii zamyka historię Polski, nie dając możliwości "zejścia do głębi".

Zaczęły się pojawiać pytania: jak np. zachowywali się Polacy podczas przeprowadzki Żydów do gett? Ilu było polskich beneficjentów tych wysiedleń? Stanisław Pigoń pisał: "Szczególnie niefortunnie wyszło na wojnie poczucie prawa własności cudzej; zatraciło się w stopniu zastraszającym. Tyczy to znowu w pierwszym rządzie własności dworskiej, poza tym niemal na równi własności w ogóle sąsiedzkiej. Tutaj to najoczywiściej przejawilo się pomieszanie pojęć moralnych, wpływ zasad i praktyk, które rozpelzły się po świecie".

W przypadku własności żydowskiej nadal pojawiają się zahamowania w nazywaniu rzeczy po imieniu. Wolalbym termin: wejście w posiadanie porzuconego - co prawda, nie dobrowolnie - mienia ruchomego i nieruchomości. Polacy nie byli jednak ani inicjatorami, ani głównymi grabieżcami. Najpierw grabiło państwo niemieckie, później na własną rękę niemieccy urzędnicy i żołdacy, a ochłapy zostawiano Polakom. Ale fakt "wejścia w posiadanie" pozostaje faktem.

Podobne zjawisko dało się zauważyć, gdy lud polski w 1945 r. ruszył na Ziemię Odzyskaną. Braniu ich w posiadanie towarzyszył wszak szaber. Choć docho-

działo do niego już po dewastacji radzieckiej, był nie mniej bezmyślny: ciągnął w dół obszary stojące cywilizacyjnie wyżej od reszty Polski.

Przedtem była reforma rolna z 1944 r. Rozbiła więzi społeczne i struktury wiejskie. Socjologowie twierdzą, że jej "skutki psychospołeczne, konsekwencje w postaci osłabionych sił moralnych i społecznych zaważyły na pewno na rozwoju społeczno-gospodarczym wsi, szczególnie, że pamięć ludzka w kulturach chłopskich powoduje wygrywanie »długiego trwania« w ścieraniu się ze zmianami".

Następców prawnych w pożydowskich sztetlach jest zapewne nie mniej niż 500 tys. Z "dobrodziejstw" reformy rolnej skorzystało 981 tys. gospodarstw. Jest oczywiste, że obie grupy pokrywają się tylko w jakimś procencie i nie można ich w prosty sposób zsumować. Jeśli pomnożyć to przez pięć (tytu członków liczyła średnio rodzina wiejska i małomiasteczkowa), okaże się, że demoralizacji podobnej do tej, o jakiej pisał Pigoń, uległo kilka milionów ludzi.

Kryterium podatności

Czy polski lud mógł uniknąć pogromów antyżydowskich? Myślę, że nie. Na sztychu z XIX w. widać jeden z wiejskich obrzędów wielkanocnych: z wieży kościoła, przy aplauzie stojących na dole wiernych, leci najpierw czarny kot, a później kukła "żyda". Na Wschodzie mówiono o "bogoubijcach", u nas o "zabójcach Pana Boga". Tym obyczajem tłumaczę sobie pogrom Żydów w Warszawie podczas pierwszej okupacyjnej Wielkanocy. Czarny kot i "żyd" miały znaczenie archetypiczne: symbolizowały złe moce, od których należało się uwolnić przed nadejściem wiosennego zmartwychwstania świata.

Polaków można było podzielić według kryterium podatności na karanie Żydów za "uśmiercenie" Chrystusa. Ci z dolnych partii drabiny społecznej robili to chętniej niż ci z górnych jej szczebli. Cechą pogromów było to, że dokonywał ich lud; nieważne: wiejski, małomiasteczkowy czy miejski. Wydaje się, że nadszedł czas, by rozszcześcić historię Polski. To, co należy do historii poszłacheckiej inteligencji, przypisać jej i tylko jej. To, co należy do historii pochłopskiego ludu, przypisać jemu i tylko jemu.

Terminu "lud" używam w znaczeniu, które nadał mu Wiesław Myśliwski w znakomitym eseju "Kres kultury chłopskiej" ("Twórczość" nr 4/04). Według autora, kultury chłopskiej w tradycyjnym rozumieniu już nie ma. W zamian pojawiła się jej quasi-kontynuacja - kultura ludowa. Pisarz przeciwstawił chłopów ludowi - mieszkającemu na wsi, przedmieściu albo w centrum miasta - choć dostrzegł genetyczny związek między tymi grupami. Chłop stawał się członkiem ludu, kiedy wykorzeniał się z kultury chłopskiej. Myśliwski definiował ją jako "wielkie człowiecze uniwersum, wynikające z setek lat poniżenia i biedy, izolacji od kultury polskiej, (...) z konieczności wypracowania własnych rytuałów, obrzędów i zasad istnienia, własnego odczuwania czasu i własnego postrzegania przestrzeni, własnego świata wewnętrznego i stosunku do świata na zewnątrz"...

Kultura chłopska umierała równolegle do karlenia kultury pańsko-inteligenckiej. Ruszając do pogromów antyżydowskich, chłopci podważyli swój świat, odzierając z sacrum posiadanie. Uczestnicząc w reformie rolnej, przekonali się, że władza doczesna jest silniejsza od odwiecznego porządku rzeczy i zjawisk. Nawet ci, którzy nie byli "beneficjentami" II wojny światowej, patrzyli, jak nie szanowano własności innych, jak profanowano ziemię. Najpierw jedni zabierali drugim, później władza rozdawała nie swoje, wreszcie - zaczęła zabierać to, co przed chwilą podarowała. A w tym wszystkim, nie tak jak za cara i cesarza, brak było ręki Opatrzności. Horyzont chłopski zawalił się ostatecznie w każdym wymiarze, także metafizycznym. Nie było już szansy, by etos tej grupy społecznej stał się fundamentem ładu społecznego, politycznego i kulturalnego (jak np. w Finlandii). Przegrał również etos inteligencki. Misja ucywilizowania słabszych grup społecznych nie powiodła się. Ani współczesne społeczeństwo polskie, ani naród polski nie są dziełem starej inteligencji.

Debata na "GreenPoincie"

Gross popełnia błąd zarzucając inteligencji "niepamięć zbiorową". Była zbyt nieliczna przed wojną, zdziesiątkowana w trakcie okupacji, a po jej zakończeniu zepchnięta do kąta. Nie mogła być ani sumieniem narodu, ani tym bardziej kronikarzem. Autor lepiej by zrobił, gdyby pretensje zgłosił polskiemu ludowi osiedlającemu się po 1945 r. na GreenPoint w Nowym Jorku. Ma on taką samą genealogię jak robotnicy Łodzi, Gdańska czy Szczecina. Ciekawe, jaki byłby efekt tej debaty?

Na początku lat 70. XX w. Jerzy Szacki pisał: "Niemal jedna czwarta reprezentacyjnej próby ludności stwierdza, że wie na jej temat (historii własnej rodziny) to jedynie, co działo się za jej życia i co można było zobaczyć na własne oczy". I dalej pisze, że w połowie polskich rodzin nie ma żadnych pamiątek rodzinnych i że połowa badanych nie przywiązuje do nich żadnego znaczenia. I Jerzy Jedlicki: "»Niepamięć zbiorowa« jest jak najbardziej w interesie tej zbiorowości. Ona wie o pogromach, tak samo jak wie wszystko o reformie rolnej. Milczy również z tego powodu, że reforma oświatowa Janusza Jędrzejowicza z 1932 r. zrobiła ich ledwo piśmiennymi i jako tacy mieli kłopoty z sięgnięciem po pióro. Bo nie można wykluczyć, że trafiały się tam jednostki, które przerażone tym, co zrobili sąsiedzi, i bojąc się o tym mówić, zostawiłyby świadectwo prawdy do odzyskania po swojej śmierci". Dlatego lud, gdyby Gross zwrócił się do niego, milczałby niechętnie.

Ilu współczesnych może się wykazać związkami z tradycją inteligencką i jej etosem? Denerwujące były w tym kontekście uroczystości rocznicowe z okazji wybuchu Powstania Warszawskiego: myśląc o AK, która była prawie wyłącznie inteligencka (a w zasadzie o jej liderach) podkreślano, że Powstanie było "dziełem ludu Warszawy". Ciekawe, co na ten temat myślał rzeczywisty lud Warszawy, czyli nieinteligentka część jej mieszkańców, po kilku dniach bombardowań.

Według statystyk przed wojną mieszkało na wsi 65 proc. obywateli. Bliscy byli im mieszkańcy miasteczek. Po wojnie te relacje się zmieniły: Polacy mający korzenie wiejskie lub małomiasteczkowe to 80-90 proc., a może jeszcze więcej, ogółu społeczeństwa.

Trzecia twarz

Z tą samą tradycją należy łączyć współczesną klasę robotniczą. Ale jest jeszcze trzecia twarz polskiego ludu - nowa inteligencja. Kisiel pisał w "Dziennikach": "Na tych awansujących ze społecznego dołu nie czekała w Polsce żadna elita, która by ich przepoiła swoją kulturą, atmosferą, tradycją. Wojna rozpedziła u nas i polikwidowała wszystkie elity. Ci nowi weszli w próżnię (...) Stąd taka dziwna ta nowa Polska - dziwna i nowa". Lud - przy dużym współudziale przedstawicieli w aparacie partyjnym, którzy nawet nie stymulowali tego procesu pod kątem wymagań ideologicznych, zadowolając się czysto werbalnymi deklaracjami - sam się awansował.

Ten awans był na tyle gigantyczny, że na wielu uniwersytetach synowie ludu kształcą ludowych wnuków. Ta grupa społeczna jest naturalnym adresatem zarzutów Grossa o "niepamięć zbiorową". Wyrzucając z pamięci swoją genealogię wyrzucili również wszystko inne: nędzę, upokorzenia dziadków i pradziadków, ich zrozumiały dystans do polskości, wreszcie pogromy antyżydowskie, grabież mienia żydowskiego i podworskiego, szaber i nieumiejętność wrośnięcia w infrastrukturę Ziemi Odzyskanych.

Publikacje Grossa mają tę wielką zaletę, że pozwalają postawić fundamentalne hipotezy dotyczące dziejów najnowszych, np. jeżeli chłopą uznać za w pełni świadomego reprezentanta narodu polskiego, to zbrodni na Żydach dokonywali Polacy. Ale przecież nie jest bezzasadne twierdzenie, że jeszcze w trakcie wojny wielu chłopów wołano się definiować jako "tutejsi", wykazując tym samym daleko idący dystans do rozumienia polskości w wydaniu inteligencji poszlacheckiej. A przy takim założeniu można postawić pytanie, czy tamtych mordów rzeczywiście dokonali Polacy.

Jedno jest pewne. Nie napiszemy w miarę zobiektywizowanej najnowszej historii Polski bez znajomości pewnej książki: "Chłop polski w Europie i Ameryce" Wiliama Thomasa i Floriana Znanieckiego, czyli - wykorzystania pojęć i metod socjologii.

WOJCIECH LIZAK (ur. 1951) jest prawnikiem i historykiem sztuki. Właściciel domu aukcyjnego, mieszka w Szczecinie. Publikował m.in. w: "Tygodniku Powszechnym", "Więź", "Res Publice", "Dialogu", "Przeglądzie Politycznym".